

WIEŚ

Nr 5(86)/2017 * ROK XV

TWORZĄCA

Dodatek Literacki do „Powiatu Słupskiego”

Kres kultury chłopskiej



Władysław Stanisław Reymont w swojej arcypowieści, „Chłopach”, przedstawił świat, którego już nie ma. Wieś taka jak Lipce pozostanie tylko na kartach książki. Była to bowiem wieś w pełni obrazująca kulturę chłopską. Kultura ta była sama dla siebie wartością, była odrębna, tworzona przez chłopów dla chłopów. Była samowystarczalna, tak jak Lipce, które właściwie mogłyby żyć tylko we własnych granicach, bez kontaktu ze światem zewnętrznym

„Kres kultury chłopskiej” to tytuł eseju Wiesława Myślińskiego, stworzonego na początku wieku XXI, a zarazem u progu nowego milenium. Czas powstania jest symboliczny - odchodzi stary świat, nadchodzi nowy. Z kulturą chłopską jest jednak inaczej, gdyż ona odeszła, ale nowej nie widać. Myśliński pisze, że owszem, jest kultura ludowa, jest folklor, pielęgnuje się tradycje wiejskie, ale nie ma to nic wspólnego z kulturą chłopską, która znikła, i to bezpowrotnie.

Czym zatem była kultura chłopska? Była to, jak pisze Wiesław Myśliński, „kultura bytu i kultura miejsca, zamknięta w kręgu człowiek - ziemia - przyroda. Motywacją istnienia było jedynie trwanie i przetrwanie. Czas liczył się rodzajem prac, porami roku, świętami i następstwem pokoleń. Przestrzeń fizyczna ograniczała się do własnego obejścia, własnej wsi, parafii i najbliższego miasteczka”. Życie chłopów opierało się na przywiązaniu do ziemi, języka i wiary. Te trzy fundamenty bytu chłopskiego pozwalały mu trwać, z dziada pradziada, w tej samej chałupie, w tej samej wsi. Historia skazywała chłopów na „samotność, wieki niewoli i niedoli, cierpienia i milczenia, izolacji od narodu i państwa”. Z konieczności więc wieś była samodzielna i samowystarczalna kulturowo, wypracowała „własne obrządki, rytuały i zasady istnienia, własne odczuwanie czasu i własne postrzeganie przestrzeni, słowem, własny wewnętrzny

świat i stosunek do świata na zewnątrz”. Wypracowała własną kulturę, kulturę chłopską.

Jednym z podstawowych znaków chłopskiej kultury była „trwałość miejsca, gdzie spełniało się ludzkie życie od urodzenia do śmierci, miejsca, udeptanego przez pokolenia i strzeżonego pamięcią pokoleń”. Ziemia, bo ona tu jest najważniejsza,



Antoni Niedzielski-Prawdę, Grabno

KTO TE RYMY KUPI?

Ten rym nie jest głupi,
Niech go mądry kupi,
Niech go dobrze zapamięta,
polskie rymy kupi.
Polskich rymów sto tysięcy,
Mamy jeszcze więcej,
Mamy do wyboru,
Dla miasta i na wieś,
I dla pegeeru.
Kto te rymy rymuje
Wiedzieć byśmy chcieli?
Ano jest niejaki chłopiek taki,
Chłopiek jeden we wsi Grabno,
Numer siedem,
Antoni Prawdę.
Prawdę mówi, prawdę sławi,
Nowo Polskę błogosławi -
Murowano, betonowo,
Demokratyczno-ludowo,
Sprawiedliwo, pokojowo,
Prawda prawdę rymuje
A nie jego ręka,
Bo on pisać nie umi,
Jemu pisać męka!
Jak się wszechświat kręci
Rymuje z pamięci...

nie tylko żywiła. Ziemia poddawała swojemu porządkowi czas, wyznaczała rytm ludzkiego życia. Była probierzem charakteru jednostki, jako gospodarza, jako człowieka. Jak twierdzi Myśliwski, ziemia „stanowiła metrum moralne świata. Tylko ziemia cię nie zdradzi, mawiał mój dziadek”.

Byt chłopa ograniczał się do jednej wsi, do ciągle tego samego nieba, do, niejednokrotnie, niewielkiego skrawka ziemi. Ale to tylko w sferze materialnej. Przestrzeń niematerialna bowiem chłopskiej kultury była niezmierzona. „Nacechowana niewyobrażalną cierpliwością istnienia, właśnie w sferze metafizycznej kultura chłopska odnajdywała niezwykle bogactwo zadośćuczynień i pocieszeń. Była to kultura zgody z losem, afirmująca życie takie, jakie przypadło człowiekowi w udziale, odpowiadająca na pytanie, jak żyć, kiedy żyć się często nie dawało, jak odnaleźć pył swojego istnienia w chaosie wszechrzeczy, jak przemijać z pokorą”.

Kultura chłopska, jak pisze Myśliwski, miała swoje wyobrażenia zła i dobra, kary i nagrody, swoje wyobrażenie wieczności i wyobrażenie Boga. Drewniane świątki, a zwłaszcza Chrystus Frasobliwy, obrazują pojmowanie Boga - to przecież „Bóg z chłopskiej doli, zatroskany jak chłop, biedny jak chłop i bezradny jak chłop”. Rzeźbienie było składaniem ofiary, modlitwą, przedstawianiem Bogu swojego poniżenia, ale i nadziei. Zresztą, całe życie chłopa było modlitwą, od porannych pacierzy, przez żegnanie się przed pierwszym siewem, po znak krzyża na nowo rozpoczynanym bochenku chleba.

Znaczącą cechą kultury chłopskiej była mądrość. Mądrość ta wynikała z doświadczenia, zarówno pokoleń, jak i doświadczenia wspólnoty, w której człowiek mieszkał. Wedle słów Myśliwskiego „było to nade wszystko doświadczenie dotkliwości bytu i w tym planie można bez przesady mówić o egzystencjalnej pełni. Nie zabrakło bowiem w tym doświadczeniu niczego, co człowieka jako jednostkę i jako zbiorowość mogło spotkać na tym świecie”. Doświadczenie to stworzyło zbiór zasad, według których człowiek powinien postępować, a także zbiór uogólnień, ocen i sądów, jakby „poradnik zaradności w każdej potrzebie”. Mądrość kultury chłopskiej przejawiała się też w humorze i ironii, cechujących życie codzienne, a także zabawy, obrzędy weselne, przyspiewki, zalecanki... Kolejnym znakiem mądrości tej kultury są przysłowia. Wiele z nich przeczy sobie, wyklucza się wzajemnie, ale o to właśnie w nich chodziło - „aby w każdej sytuacji człowiek mógł znaleźć odpowiedź na dręczącą go wątpliwość czy bezradność, aprobatę dla swojego wyboru czy zamiaru”.

Kres kultury chłopskiej jest, jak twierdzi Wiesław Myśliwski, faktem. Należy to jednak, jak dalej pisze, przyjąć po prostu jako naturalną kolej dziejów: „Kultura chłopska przegrała starcie z napierającą cywilizacją. Musiała je przegrać. Kulturze biedy i izolacji cywilizacja zaproponowała podniesienie poziomu życia i pracy oraz otwarcie na świat. To zbyt wielkie pokusy, aby można było im się oprzeć”. Ten proces wypierania kultury chłopskiej ze wsi zaczął się z pierwszymi falami emigracji „za chlebem”, jeszcze przed pierwszą wojną światową. Postępujące dalej otwarcie chłopów na świat przyniosło im większe możliwości: nauki, polepszenia warunków życia, poznania innych sposobów życia. Odbyło się to jednak kosztem umierania starego wiejskiego świata, bo niemożliwe było pogodzenie postępu cywilizacyjnego na wsi z zachowaniem wszystkich wartości chłopskiej kultury. Szczególnie intensywnie proces ten zaczął następować po drugiej wojnie światowej, wraz z wprowadzaniem na wieś nowoczesności, z elektryfikacją i radiem, oraz jednoczesnym odpływem młodzieży wiejskiej, masowo wyjeżdżającej do miast, do fabryk, kopalń i szkół. Wieś stała się otworem dla kultury z zewnątrz.

Symbolem środka, który spowodował odejście kultury chłopskiej, uczynił Myśliwski telewizor. Stał się on dla chłopów oknem na inny świat. Wieś zyskała dostęp do informacji, rozrywki, do filmów, teatru, i to takich samych jak w mieście. Przez telewizor wtoczył się do chłopskiej izby szeroki świat. Ale jednocześnie zniszczył tę chłopską izbę jako najważniejszą instytucję wiejskiej kultury. A czym była chłopska izba? Wiesław Myśliwski mówi tak: „Czym była chłopska izba, ten tylko może powiedzieć, kto choćby w dzieciństwie wystuchiwał zbierających się, zwłaszcza zimą, kobiet i mężczyzn, na sąsiedzkie posady, na darcie pierza, łuskanie fasoli itp. Zaludniali nieraz tę izbę narratorzy o niepospolitych, surrealistycznych wyobraźniach, prawdziwi kreatorzy słowa i pamięci, filozofowie i błazny, żartownisi i śmieszki, przepowiadacze i utyskiwacze, onirycy, spirytuolodzy i doradcy we wszystkich sprawach ziemi i nieba. Każdy taki wieczór był kartą literatury niepisanej”.

Literatura niepisana - tak, kultura chłopska mówiła, nie pisała. „Mowa żywa, a więc ta źródłana, choć ulotna, była językiem chłopskich narracji, chłopskich klechd, bajed, wyznań i zwierzeń, skarg i żalów, sag rodzinnych, opisów plag i zagrożeń, wędrówek wojennych, wypraw za chlebem...”. Trwała zatem ta kultura w słowie, dzięki pamięci i wyobraźni. Tak też Myśliwski opisuje trzy najważniejsze elementy chłopskiego dziedzictwa: słowo - pamięć - wyobraźnia.

Słowo. Przebogaty zasób, język znajdujący nazwę dla wszystkiego i w każdej okoliczności. Także język wolny, wolny od wszelkich reguł poprawnościowych, zasad gramatycznych, wytycznych językoznawców. Był to język twórczy: chłop, „jeśli pojawił się nowy fakt, rzecz czy zjawisko, nazywał to sam z siebie, jak chciał, jak mu dyktowała własna intencja, jak ów fakt, rzecz czy zjawisko przystawało do jego doświadczenia, jaki wywoływało w nim stan emocjonalny i w jaką wchodził z nim zależność”. Myśliwski mówi wręcz, że wtedy chłop przypominał prawdziwego poetę.

Pamięć. Pamięć była niezbędna dla zachowania ciągłości kultury chłopskiej. Przy braku pisma była depozytem tej kultury, ważnym dla jej przekazywania i dziedziczenia. „To pamięć ukorzeniała człowieka, potwierdzała jego miejsce na ziemi, nadając sens najmarniejszemu nawet życiu i każdej rzeczywistości subiektywny, jednostkowy, ten najważniejszy wymiar. Przystosowywała się do opowieści człowieka, bo też zadaniem opowieści było przynosić człowiekowi ulgę”.

Wyobraźnia. Wyobraźnia w kulturze chłopskiej stanowiła integralną część bytu. Poszerzała świat znany, jednocześnie osławiając nieznaną. Pomagała. „Zaprzęgnięta w codzienność, była sposobem na bezradność, czyniła zadość ludzkim marzeniom i tęsknotom, nie pozostawiała nikogo samotnym w opuszczeniu. Obecnych z nieobecnymi, żywych ze zmarłymi łączył cały system komunikacji: przeczuć, przestróg, zwidzeń i snów. Wolność i sprawiedliwość zapewniały przypowieści i baśnie. Przed nieszczęściami chroniły zaklęcia i zamawiania. To była niewiarygodnie zaradna wyobraźnia, toteż nic dziwnego, że ubogi chłopski świat wypełniała bogactwem świata nadrealnego”.

Kres kultury chłopskiej nastąpił. Nie ma jej już żywej, wsie upodabniają się do miast, w telewizorze wszyscy oglądają to samo wszędzie. Młodzież wiejska żyje jak ich rówieśnicy w miastach, i chyba nawet nie ma już jej kto opowiedzieć o tamtym, minionym świecie. Kulturę chłopską widzimy na kartach „Chłopów” Reymonta, może w zbiorach etnograficznych, a pewne odbicie w rekonstrukcjach folklorystycznych. Warto zatem, jak pisze Wiesław Myśliwski, zapamiętać sześć najważniejszych słów tej kultury, ujętych w triadach: ziemia - język - wiara oraz słowo - pamięć - wyobraźnia.

Jolanta Betkowska, Słupsk

Literacka współpraca z Wileńszczyzną



W dyskusji nie udało się ukryć, że autorka wykładu jest poetką kaszubskiego pochodzenia. Poproszono ją o kilka wierszy, które z przyjemnością zaprezentowała zarówno w języku kaszubskim, jak i polskim. Szczególnie te w języku kaszubskim wzbudziły zainteresowanie

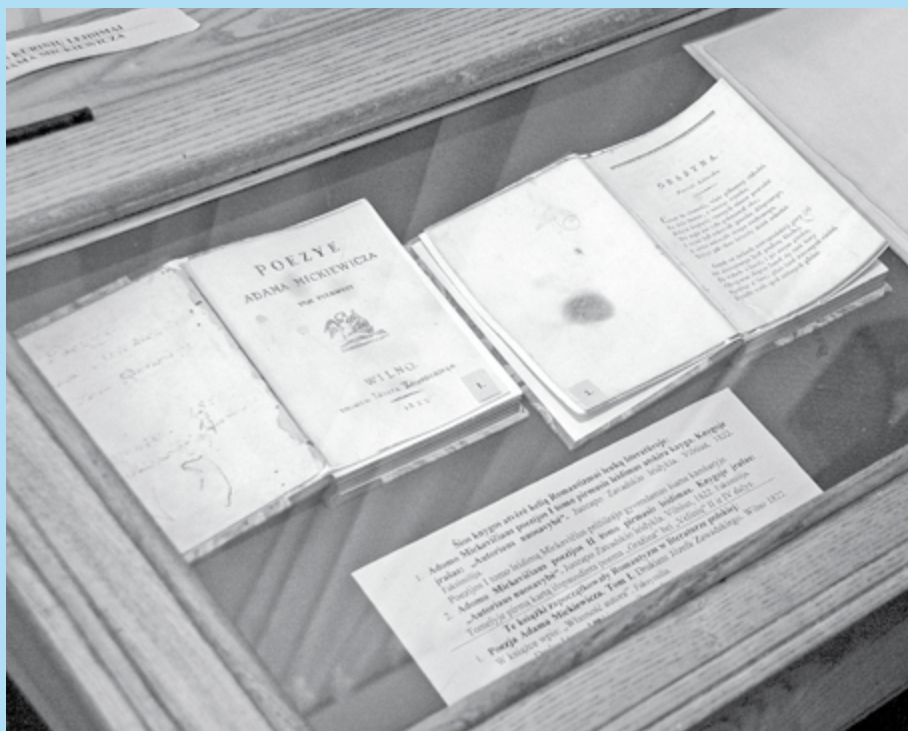
Ostatni, czerwcowy wyjazd na Litwę zwany literackim okazał się niezwykle korzystny. Wzięli w nim udział: prof. Adela Kuik-Kalinowska z Akademii Pomorskiej w Słupsku, Danuta Sroka - dyrektor Miejskiej Biblioteki Publicznej w Słupsku, Bożena Bugańska dziennikarka Telewizji Vectra, Andras Asztalas - animator kultury w Słupsku, były attache Węgier w Warszawie, Karolina Wojtkowiak - uczennica gimnazjum, Grzegorz Rataj - słupski przedsiębiorca i niżej podpisana reprezentująca NOT w Słupsku - inicjatorka przedsięwzięcia.

Niezapomniane wrażenia pozostawiła wizyta w Muzeum im. Adama Mickiewicza w Wilnie. Przyjęli nas tutaj wyjątkowo gościnnie Rimantas Šalna - dyrektor muzeum, pisarz i poeta, Alicja Dziesiewicz - starszy kustosz muzeum i Wojciech Piotrowicz - dziennikarz, pisarz, poeta wileński. Red. Bożena Bugańska pracownicę nagrywała prezentacje pracowników muzeum. Rimantas Šalna, w ciekawy sposób opowiedział historię muzeum oraz przybliżył wiele ciekawostek z życia Mickiewicza. Poświęcone wielkiemu poecie muzeum mieści się w zaułku Bernardyńskim, w byłym mieszkaniu profesora algebry Uniwersytetu Wileńskiego - Tomasza Życkiego. Adam

Mickiewicz mieszkał tu od Wielkanocy do czerwca 1822 roku i przygotowywał do druku poemat „Grażyna”. W 1911 roku kamienicę wykupił znany redaktor, wydawca, historyk, członek Towarzystwa Przyjaciół Nauk, kolekcjoner Jan Konrad Obst. W 1938, na mocy „Aktu Darowizny” przekazał kamienicę przy Bernardyńskiej II na rzecz Uniwersytetu Stefana Batorego w Wilnie oraz udostępnił prywatną ekspozycję poświęconą życiu i działalności wieszczka.

W czasie II wojny światowej ekspozycja muzealna została częściowo rozkradziona, a częściowo ukryta przez pracowników uniwersytetu. Po wojnie, z inicjatywy Lwa Władimirowa - dyrektora Biblioteki Uniwersytetu Wileńskiego, muzeum zostało odnowione i uroczystie otwarte 26 listopada 1955 roku - w setną rocznicę śmierci poety, jako - Adomo Mickevičiaus memorialinis butas-muziejus (Muzeum - Mieszkanie Memorialne Adama Mickiewicza). W 1987 roku pożar częściowo zniszczył muzealne pomieszczenia. Ze względu na zniszczenia oraz częste prace remontowe związane z silnym zawilgoceniem, obiekty muzeum przez wiele tygodni były zamknięte. Jego losami zainteresowała się w końcu społeczność polska, która zaproponowała pomoc Uniwersytetowi Wileńskiemu w jego odnowieniu. W 1998 roku, dzięki wsparciu organizacji polonijnych oraz prywatnych mecenasów, nawiązanej współpracy polsko - litewskiej, pomieszczenia oraz ekspozycje muzealne zostały odnowione. Muzeum Adama Mickiewicza w Wilnie przetrwało, a placówce przywrócono dawną świetność też dzięki osobistemu zaangażowaniu się litewskiego poety i publicysty, wieloletniego dyrektora muzeum, Rimantasa Šalną, oraz oddanym przyjaciołom i sympatykom.

Najwięcej zawdzięcza jednak znanemu śpiewakowi Wiesławowi Ochmanowi, dzięki któremu do istniejących trzech muzealnych pokoi dokupiono mieszkanie stróża (w którym urządzono biuro i Salę Filomacką) oraz piwnicę gotycką. Dzisiaj Muzeum Adama Mickiewicza stanowią cztery sale ekspozycyjne, pokój administracyjny i piękna piwnica, w której odbywają się koncerty, spotkania literackie i wieczorki poetyckie. Większość turystów zwiedzających Wilno odwiedza to miejsce. Rimantas Šalna dumny jest z tego, że muzeum odwiedziły znakomite osobistości, m.in. Lech Wałęsa, Aleksander Kwaśniewski, Maria Kaczyńska. Obecnie jest ono nie tylko ważną instytucją kulturalną w Wilnie, ale pomostem łączącym pokolenia i narody. Rimantas Šalna twierdzi, że „żyje, bo stanowi małą Unię Polsko-



Litewską". Życzyłby sobie, aby takie dobre stosunki panowały między naszymi krajami, także na innych płaszczyznach.

W bieżącym roku obchodzone jest 100-lecie Towarzystwa Filomanów - miłośników nauki, założonego między innymi przez Adama Mickiewicza. Śalna, jako Litwin podkreśla, że zostało założone nie w Warszawie, a właśnie w niewielkim 40-tysięcznym Wilnie, gdzie było tylko 1000 studentów i 40 profesorów! To tutaj narodził się polski romantyzm, Wilno stało się centrum polskiego intelektualizmu. Pasją Rimantasa Śalna jest historia i twórczość Adama Mickiewicza. Razem z Wojciechem Piotrowiczem jest on współautorem cyklu książek poświęconych poecie: „Adam Mickiewicz w Wilnie”, „Adam Mickiewicz na zesłaniu”, „Adam Mickiewicz a kobiety”. W tej ostatniej autorzy przybliżyli osobowości kobiet, które w większym lub mniejszym stopniu wywarły wpływ na życie i być może twórczość poety. Byłyby zapomniane, gdyby nie stanęły na drodze wielkiego poety. R. Śalna jest też autorem wielu wierszy, przełożonych na język polski.



Muszę przyznać, że z wielką przyjemnością wysłuchaliśmy opowieści dyrektora R. Śalna o naszym wielkim poecie, jego przygodach, losach i twórczości oraz o historii jego muzeum. Poznaliśmy historię mebli należących do Adama Mickiewicza: stolika, krzesła i fotela. Adam Mickiewicz był niezwykle skromnym i w gruncie rzeczy bardzo biednym człowiekiem. Był jednak bardzo lubiany przez swoich kolegów i wykładowców. Chętnie udzielali mu schronienia i byli jego mecenasami. W samym Wilnie naliczono siedem adresów, gdzie mieszkał. Marzył o pracy wykładowcy na Uniwersytecie Wileńskim, ale skierowano go do pracy w Kownie. Rimantas Śalna w humorystyczny sposób opowiedział m.in., jak Mickiewicz starał się o urlop zdrowotny tylko po to, by wyjechać z Kowna do Wilna. Zachowało się kilka rękopisów, w których zwraca się do rektora o taki urlop. Wg opowieści dyrektora, choroby pomagał mu wyszukiwać lekarz powiatowy z Kowna, Józef Kowalski. Bardzo zależało mu, żeby Mickiewicz jak najszybciej opuścił to miasto, ponieważ często przychodził do jego żony w gości, kiedy nie było go w domu.

Rimantas Śalna długo opowiadał też o najpiękniejszym portrecie Adama Mickiewicza namalowanym przez Walentego Wańkowicza. Kopię tego obrazu muzeum otrzymało w darze od Muzeum Narodowego w Warszawie, dzięki staraniom ambasadora Janusza Skolimowskiego.

Kolejną osobą, która oprowadzała nas po muzeum była Alicja Dzieszewicz - starszy kustosz. Pokazała portrety kobiet, które przewinęły się przez życie Adama Mickiewicza. Zwróciła

uwagę, że są to tylko kopie, ponieważ budynek jest tak mocno jeszcze zawilgocony, że nie można prezentować w nim oryginałów. W przepięknej piwnicy gotyckiej spotkaliśmy się z Wojciechem Piotrowiczem, znanym poetą wileńskim, który pasjonuje się romantyzmem, stanowiącym dla niego inspirację poetycką. Jest autorem popularnonaukowych opracowań o życiu i twórczości Mickiewicza. Na początku wspomniał o swojej twórczości, a szczególnie o książce „Moja czasoprzestrzeń” - zbiorze wspomnień przedstawionych z punktu widzenia dorastającego dziecka w okresie zmiany stosunków politycznych, w okresie władzy radzieckiej i wtrącania się w losy ludzkie. W dalszej części swojej opowieści skupił się na losach Adama Mickiewicza związanych z malarzem Walentym Wańkowiczem. Obaj zaczęli studia, Wańkowicz na wydziale sztuk pięknych a Adam Mickiewicz na wydziale fizyko-matematycznym, a następnie na wydziale nauk wyzwolonych. W tym okresie Wańkowicz narysował kilka portretów Mickiewicza; jeden w ołówku, pozostałe kolorową kredką.

W roku 1828 obaj byli w Rosji, w Petersburgu. Tam Wańkowicz namalował portret Mickiewicza podczas podróży na Krym, nawiązujący do sonetu „Ajudah”. Jest to jeden z najpiękniejszych portretów poety. Obaj twórcy byli wyznawcami Towianizmu. Gdy Towiański pojawił się u Adama Mickiewicza w Paryżu, zaraz po nim przyjechał Wańkowicz. Mickiewicz około półtora roku opiekował się chorym przyjacielem, który zmarł na jego rękach. W tym okresie Wańkowicz namalował jeszcze obraz Matki Boskiej Ostrobramskiej, który zawieszono w kościele św. Seweryna i apoteozę Towiańskiego pod postacią Napoleona. Niewątpliwie Towiański odegrał wielki wpływ na życie Mickiewicza oraz negatywnie wpłynął na rozwój jego twórczej i naukowej kariery.

Niektóre inicjatywy Wojciecha Piotrowicza zrodziły się we współpracy z Rimantasem Śalną, człowiekiem szczególnie otwartym na tematy związane z romantyzmem i postacią Adama Mickiewicza. To właśnie w 2009 roku przedstawiciele delegacji powiatu słupskiego podjęli decyzję o współpracy literackiej. To właśnie Wojciech Piotrowicz był pierwszym poetą, który uzgadniał ze Zbigniewem Babiarem-Zychem płaszczyzny współpracy i możliwości prezentacji dorobku wileńskich poetów w słupskich wydawnictwach. Od tego czasu wielokrotnie ich twórczość ukazywała się w biuletynie Powiat Słupski, jak również w kolejnych antologiach. Podczas tej wizyty uzgadnialiśmy również z W. Piotrowiczem terminy dostarczenia wierszy do kolejnego przygotowywanego w Słupsku tomu antologii.

Kolejną wybitną postacią współczesnego Wilna, z którą mieliśmy przyjemność się spotkać był Józef Szostakowski - historyk literatury, dziennikarz, doktor nauk humanistycznych. Przez wiele lat pracował w wileńskiej prasie polskiej jako dziennikarz. Był metodykiem w Instytucie Doskonalenia Zawodowego Nauczycieli w Wilnie. Jest autorem trzech zbiorów poezji, przewodnika literackiego „Wilno i okolice” oraz szeregu prac naukowych i artykułów, publikowanych w prasie wileńskiej. Z dr. J. Szostakowskim spotkaliśmy się już w ubiegłym roku. Dzięki niemu powstał film o życiu i twórczości Syrokomli, który cieszy się dużym zainteresowaniem zarówno w Wilnie, jak i w Słupsku. Tym razem w piękny sposób przedstawił nam historię Rzeczypospolitej Państwa, utworzonej przez

księdza Pawła Ksawerego Brzostowskiego w 1767 roku, czyli 250 lat temu. Chłopi mieli w niej wolność osobistą, utworzyli samorząd gminny, nazywany sejmem. Działalność samorządu opierała się na specjalnie opracowanych przepisach prawnych i porządkowych. Sejm Rzeczypospolitej zatwierdził urzędowo „rzeczpospolitą pawłowską” oraz uchwalił Konstytucję Rzeczypospolitej Pawłowskiej 4 kwietnia 1791 roku, czyli jeszcze przed uchwaleniem Konstytucji 3 Maja.

Chłopi otrzymali na własność ziemię, na której starali się gospodarzyć jak najlepiej z myślą o kolejnych pokoleniach. W Rzeczypospolitej Pawłowskiej była szkoła, teatr, bank, straż pożarna. Nie budowano tu kurnych chat tak jak w innych miejscowościach. Jednym słowem było to miejsce, które wzbudzało podziw całej Europy. Działania księdza Brzostowskiego zostały docenione zarówno przez papieża, jak i króla Stanisława Augusta Poniatowskiego, który odznaczył go za to Orderem Orła Białego.

Po Rzeczypospolitej Pawłowskiej zostały tylko resztki za-
bytkowych murów. Z przyjemnością zwiedziliśmy te miejsca i wysłuchaliśmy ciekawej historii opowiedzianej przez dr. Józefa Szostakowskiego. Ale nasze rozmowy z doktorem toczyły się także wokół współpracy Wilna i Słupska w zakresie promowania wileńskich poetów. Zbiory poezji wydawane w Słupsku cieszą się wśród nich wielkim zainteresowaniem. Ciekawe spotkanie odbyło się po wydaniu ostatniej słupskiej antologii „Świat idzie inną drogą”, która została dobrze odebrana w literackich kręgach Wilna. Wspólnie doszliśmy do wniosku, że dobrze byłoby zwiększyć liczbę wysyłanych książek do Wilna, tak aby mogły się znaleźć w bibliotekach większości tamtejszych polskich szkół i trafić do osób zainteresowanych poezją.

Po spotkaniu w Domu Kultury Polskiej z Ryszardem Kuźmo - rektorem Polskiego Uniwersytetu Trzeciego Wieku w Wilnie i jego członkami, obecna w naszej grupie prof. Adela Kuik-Kalinowska postanowiła przybliżyć zebranim wątek przyrodniczy ogrodów litewskich, przewijający się w „Panu Tadeuszu”. Okazuje się, że ogrodowe opisy zdradzają bardzo dobrą wiedzę przyrodniczą i gospodarską ich autora. Opis Mickiewicza jest tak dobry, że na jego podstawie można odtworzyć szlachecki ogród litewski z tamtych czasów. Poeta prawdopodobnie znał takich ogrodów dużo i patrzył na nie okiem miłośnika przyrody. Przychodziło mu to z łatwością, ponieważ pochodził z Nowogródka, gdzie sady i ogrody były

wyjątkowo piękne ze względu na urodzajne ziemie i doskonałe warunki klimatyczne.

Wykład nosił tytuł: „Był sad... - krajobraz Litwy malowany słowem w „Panu Tadeuszu” A. Mickiewicza”. Według prof. Kalinowskiej mickiewiczowski opis ogrodu jest jednym z najbardziej znanych poetyckich przedstawień tego motywu w literaturze XIX wieku. Ogród w ujęciu Mickiewicza wyróżnia się praktycznością i użytecznością, a jednocześnie urzeka pięknem, feerią barw i różnorodnością kształtów. Na tle XIX-wiecznej konwencji literackiej jest on osobliwy i oryginalny, głównie dlatego, iż pielęgnuje swojskość i lokalność. W Sopli-cowie widzimy różne „odmiany” ogrodu, które rozmieszczone w różnych częściach eposu, pojawiają się tam, gdzie jego bohaterowie. W „Panu Tadeuszu” jest ich kilka, znajduje się w nim sad, obok niego rozciąga się ogród warzywny, a najbliższe domu - ogród kwiatowy.

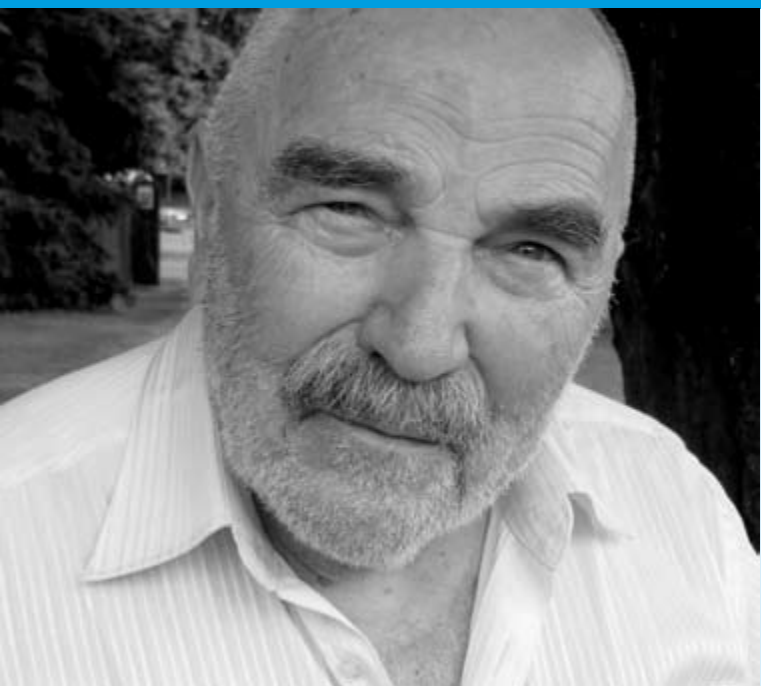
We włościach dworskich są również ogródki obsiane zbożami na ziarno dla ptactwa domowego, jest uroczy ogródek, w którym rosły kwiaty i zioła, jest ogródek ogórkowy, a także „miniaturowy ogródek” kwiatów doniczkowych. W ocenie profesor sady, ogrody i warzywniki opisywane przez A. Mickiewicza przesycane są ogromną malarskością i plastycznością. Prezentowane przez autora już samą swoją obecnością i pięknem uszlachetniały krainę, oraz tego, kto nimi się opiekował. Tak jest właśnie w przypadku Zosi, która będąc z zamiłowania ogrodniczką dworu i wychowując się pośród kwiatów i warzyw, pełna jest wdzięku, prostoty i naturalności. W swoim wystąpieniu prof. Kalinowska podkreśliła, że ogródek Zosi jest ukoronowaniem wszystkich scen ogrodowych w poezji polskiego romantyzmu.

W dyskusji nie udało się ukryć, że autorka wykładu jest poetką kaszubskiego pochodzenia. Poproszono ją o kilka wierszy, które z przyjemnością zaprezentowała zarówno w języku kaszubskim, jak i polskim. Szczególnie te w języku kaszubskim wzbudziły zainteresowanie.

Gospodarze byli przygotowani na przyjęcie gości z Macierzy. Wystąpił zespół prezentujący pieśni i wiersze o Wileńszczyźnie, o miłości do rodzinnej ziemi i tradycji. Moja wnuczka, 14-letnia Karolina podsumowała to co zobaczyła i usłyszała krótko: „babciu już wiem dlaczego tak często tu przyjeżdżasz, dopiero tutaj można zrozumieć, co znaczy słowo Polska”.

Krystyna Popiel, Słupsk

WIERSE Z WILNA



WOJCIECH PIOTROWICZ, poeta, prozaik i tłumacz.

Urodził się 18 czerwca 1940 r. w zaścianku Obiejucie koło Podbrodzia na Litwie. W 1964 ukończył studia fizyko-matematyczne na Uniwersytecie Wileńskim. Od 1981 pracował na Litwie w mediach polskojęzycznych: prasie, radiu, telewizji. Tłumaczył z litewskiego, białoruskiego, rosyjskiego. Wydał zbiorki poezji: „Nec mergitur” (1992), „Nad zgiełk” (1995), we współpracy z innymi autorami: „Barwy i dygresje” (2002), „Czasy i inkluzje” (2004). We współpracy z Rimantasem Šalną wydał pozycje: „Adam Mickiewicz w Wilnie” (2007), „Adam Mickiewicz na zesłaniu” (2008), „Adam Mickiewicz a kobiety” (2003). Wydał też tom prozy „Moja czasoprzestrzeń” (2015). We współpracy z Henrykiem Mażulem - albumy „Wilno po polsku” (2012), „Palmy Wileńszczyzny” (2017). W 1999 r. zredagował i wydał pracę zbiorową o doktorze filozofii, historyku Jerzym Ordzie pod tytułem „Jerzy Orda - Wilnianin z wyboru”. Przygotował szereg haseł oraz tłumaczeń dla 7-tomowej „Antologii Wileńskiej (1996 - 2014)”.

ŻEBRACY

Niebo łaskawie da pogodę każdą
zna czas na wirującą w bramie zamieć
piekący na ulicy skwar
i spod nieostrej wcale arki
przeciąg
żebnikom przy chodnikach
natrętnym miałem sypie w twarz

A rzadki gość uliczki tej
tęczowo załamany promień
łzę mętną suszy
jej nieśpieszno spływać padać
na opływowe jak prośba kamienie

Idącym pieszo
na bazar
do pociągu i kaplicy

Pod ciągle nóg szuranie
wyciśnięty z rzadka bez dźwięku prawie
bez oddźwięku
ginie w odwiecznej czapce czy umorusanej dłoni
na wszystko głuchy mało ważki cent

O zmroku przeliczany odezwie się raz jeszcze
alumirowym do miedziaka szeptem

- Cóż dzisiaj za zwyczaję
że częściej żebrak jest bogatszy
niżli ten
co daje

KAMIENICZKA I KIOSK

- Nie mam dachu nad murem
nie mam muru nad wejściem
i fundament od deszczów pęka
odpadł tynk barokowy
od pradaowej budowy
płacze pusta okienna wnęka

Zanim mer powie mane
A thekel urzędnicy
chwast fares wprowadzą biegle
coż będzie Panie Kiosku
z mego życia na włosku

- Nie ostanie się cegła na cegle

Jam dwa lata w Twym cieniu
klientom nieporęczny
Jaśnieoświecona upiorna Ruino

Poddam słońcu towary
niech się pysznią pęcznieją
a Twe mury i mary niech zginą

Ząb Czasu gdy usłyszał
zdobył się na kawał
Kamieniczka kucnęła
a Kiosk złapał zawal

Gdy nie zawsze Nowe o Stare ma troski
udział wspólny
te same Baltazara głoski

BEZ TYTUŁU

Konradzie
synu natchnienia

Wysoko stąd
w echach twojego pienią
gwiazdy drżą
na ten upadek i błąd

Możesz duszom odmówić istnienia
Nigdy nad nimi wziąć rząd



JÓZEF SZOSTAKOWSKI, ur. 1 lipca 1953 r. w miejscowości Lubieliszki w rejonie wileńskim. Poeta, dr nauk humanistycznych. Po ukończeniu szkoły polskojęzycznej wstąpił na ówczesny Wileński Uniwersytet Pedagogiczny, który ukończył w 1976 r., uzyskując kwalifikacje nauczyciela języka i literatury polskiej oraz historii. Pracował w prasie wileńskiej, w Instytucie Doskonalenia Kwalifikacji Nauczycieli. W 2001 r. na Uniwersytecie Warszawskim obronił pracę doktorską na temat historii prasy polskiej i polskojęzycznej na Litwie. Jest wykładowcą akademickim, pracuje również w Muzeum Władysława Syrokomli w Borejkowszczyźnie koło Wilna. Wydał następujące zbiory wierszy: „Nie ucz się domu” (1992), „Czerwone gile” (1994), „Wiersze z listów” (1994), pozycję krajoznawczą „Wilno i okolice. Przewodnik literacki” (2012) i inne.

PRZEZ DESZCZ

Panie
który zgasił latem
i zapalaszy jesień
władco złocistych astrów
otulonych mgłami
Stwórco wielkiego smutku
którym nas obdzielasz
muzyką liści klonu
w spadającym walcu
kropeł biegnących szybko
a każda swoją drogą
i kiedy jestem w tym
przedsionku zimy
widzę
jak się uśmiechasz do mnie
przez deszcz

JAKBYM KRADŁ

patrzę na ciebie
kropla po kropli
jakbym kradł deszcz

spoglądasz na mnie
kropla po kropli
tak spijają rosę

nasze zawstydzenie
wsiąka w biały obrus
na stole

patrzę na ciebie
jakbym kradł
chcę pić

Kiedy leżę jak martwy
kto użyczy mi chłodu
kiedy leżysz nieżywa
kto użyczy ci ciepła

ta noc jest mniejsza
niż cień od drzewa
niż lata nasze bose
i zaćmienie słońca
widziane w dzieciństwie
przez butelkowe szkło
do dziś jeszcze
słodkie od lemoniady

bo noc jest tylko czarną pajęczyną
przez którą sączy się
nasz szłoch

TO CO ZA OKNEM

to co za oknem moje i nie moje
knieje dzieciństwa przemienione w gaik
zły wiatr spod koron wypłoszył zwierzyne
i cień już nie ma smaku zimnej wody
która chwytala radością za gardło

tamte za oknem jak za dymną szybą
miękkie w dotyku beznadziejnie chore
takie nijakie, że nawet bez krzyku
i moje wiersze osypane szronem

Wiesław Michnikowski - artysta uwielbiany



Cale pokolenia zachwycaly się jego piosenkami: „Addio, pomidory”, „Mija mi”, „Wesołe jest życie staruszków”. Niestety, 29 września br. zmarł Wiesław Michnikowski, wybitny aktor teatralny i filmowy, uniwersalny kabareciarz i radiowiec

Odszedł w wieku dziewięćdziesięciu pięciu lat. Taki komunikat przekazały media. Program I Polskiego Radia następnego dnia po tej przykłej wiadomości każdą godzinę rozpoczynał tekstem głoszonym przez zmarłego aktora lub przypominał jego wielkie wcielenia w role grane w Kabarecie Starszych Panów i kabarecie Dudek. Charakteryzował się niepospolitym wdziękiem, czarował postaciami, które przedstawiał na scenach teatralnych, a szczególnie w wymienionych kabaretach. Był artystą wyjątkowym - komediowym i dramatycznym, który grał z wielką starannością wszystkie powierzone mu role. Występował na estradach niemal wszystkich miast w Polsce i zawsze był na nich gwiazdą.

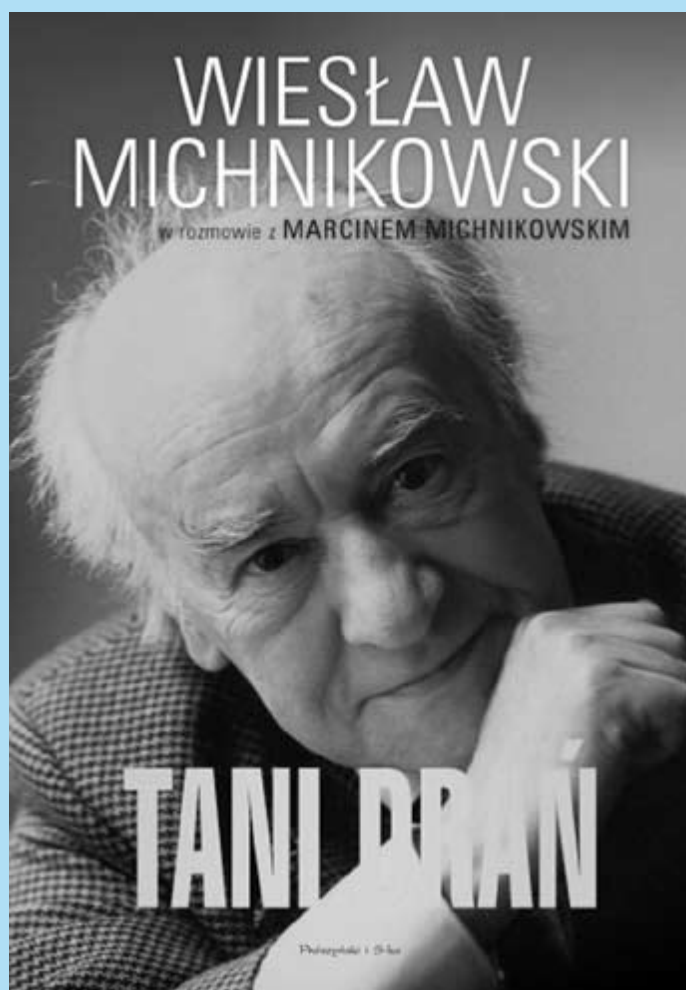
Aktywność aktorska Wiesława Michnikowskiego była rewelacyjna - poświęcił sztuce teatralnej i kabaretowej 72 lata. Swoją karierę zaczynał w 1945 roku, a ostatnio wystąpił w przedstawieniu Teatru Telewizji „Nikt mnie nie zna” w tym roku. W programach radiowych występował 62 lata. Przez wiele lat szczególnie sentymentalnie darzył „Podwieczorek przy mikrofonie.”

Ród Michnikowskich wywodzi się z Wielkopolski, gdzie posiadał dobra ziemskie, skonfiskowane po powstaniu styczniowym. Rodzina matki była od pokoleń związana z Warszawą. Wiesław urodził się 3 czerwca 1922 roku, w kamienicy przy ulicy Pańskiej 100, w mieszkaniu nr 37, na trzecim piętrze. W domu tym Michnikowscy mieszkali do powstania warszawskiego. Był przedstawicielem pokolenia, które w latach swojej młodości, codziennie zdawało egzamin z patriotyzmu i umiłowania ojczyzny. Ukończył III LO im. gen. Józefa Sowińskiego. W 1946 roku zdał egzamin eksternistyczny do Szkoły Dramatycznej w Lublinie. Karierę aktorską rozpoczynał najpierw w Teatrze Domu Żołnierza i Teatrze Miejskim w Lublinie. Później, w latach 1947 - 1948 występował w Teatrze Klasycznym w Warszawie, by znów powrócić do Teatru im. Juliusza Osterwy w Lublinie. Po czym znowu przeniósł się do Warszawy - do Teatru Młodej Warszawy. Występował też w Teatrze Komedia, w Kabarecie Wagabunda, w Teatrze Współczesnym, Teatrze Polskim i ponownie we Współczesnym. Zawsze mówił, że jego pasją jest teatr, a aktorstwo uważał za swoją misję życiową. Był też znakomitym odtwórcą ról filmowych, których na swoim koncie miał ponad czterdzieści! Występował w „Seksmisji”, „Rififi po sześćdziesiątce”, „Otello z M-2”, „Halo Szpicbródka, czyli ostatni występ króla kasiarzy”, w serialu „Czterej pancerni i pies”, w „Żonie dla Australijczyka”, „Wojnie domowej”, „Mocnym uderzeniu”, „Piekle i niebie”, „Klubie profesora Tutki”, „Hydrozagadce”, „Dzieciolate”, „Wielkiej majówce”, „Janie Serce”, „Akademii pana Kleksa”, „5 dniach z życia

emeryta”, „Labirynty” i w wielu innych filmach. W polskiej wersji językowej serialu animowanego „Smerfy” użył głosu Papa Smerfie. Młodzi odbiorcy bezbłędnie go rozpoznawali.

Cale pokolenia Polaków zachwycaly się jego piosenkami „Addio, pomidory”, „Mija mi”, „Wesołe jest życie staruszków”. Niezapomniana pozostanie też jego rola w skeczu „Sęk” z Edwardem Dziewońskim.

W. Michnikowski unikał wywiadów, a w ostatnich latach wycofywał się nawet z życia zawodowego i towarzyskiego. Pozostawił po sobie jednak zapis szczerej rozmowy ze swoim synem, Marcinem Michnikowskim, która została opublikowana pt. „Tani Drań”. Obejmuje okres niemal całego jego życia. Nasycona jest ujmującym uśmiechem aktora i diabelnie złośliwym dowcipem.



Za swoje role ten wspaniały aktor i kabareciarz otrzymał wiele nagród i odznaczeń. Uhonorowany został m.in. Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski, Nagrodą Prezesa Komitetu do Spraw Radia i Telewizji, Złotą Oznaką Honorową Towarzystwa Polonia, a także Nagrodą im. Cypriana Kamila Norwida „Dzieło Życia”.

Wraz ze śmiercią Wiesława Michnikowskiego odeszła jego epoka. Zapisze się on w naszych wspomnieniach jako jeden z najbardziej zasłużonych artystów polskich scen teatralnych, w tym największych polskich kabaretów i filmów.

Włodzimierz Lipczyński
Stępsek

To nie jest film na sobotni wieczór



Film „Ptaki śpiewają w Kigali” ma skrajne oceny, od zachwytów nad artystyczną formułą obrazu, jego głęboką metaforyką, do zupełnej negacji wszystkiego, fabuły, dialogów, zdjęć i montażu

Gdyby to miał być film tylko o traumie ocalałych po tragedii w Rwandzie, powstałby dokument z udziałem konkretnych, rzeczywistych bohaterów. Joanna Kos-Krauze i Krzysztof Krauze zrobili artystyczny film, który po śmierci Krzysztofa Krauze w 2014 roku - dokończyła i pokazała w roku 2017 Joanna Kos-Krauze. „Ptaki śpiewają w Kigali” z aktorskimi kreacjami Jowity Budnik i Eliane Umuhire - nagrodzonymi ex aequo nagrodą dla najlepszej aktorki na 42. Festiwalu Filmowym w Gdyni oraz na Festiwalu w Karlowych Warach - odnosi się do konkretnej sytuacji, opowiada historię dwóch kobiet, których los splotła tragedia rwandyjska.

Anna Keller, polska ornitolog, prowadziła we współpracy z rwandyjskim profesorem badania nad ginącą populacją sępów. Mieszkała w Kigali, stolicy Rwandy, z rodziną profesora, zaprzyjaźniła się z jego córką Claudine. Akcja filmu rozgrywa się po tragedii 1994 roku, a w jej rozmiar i okrucieństwo wprowadzają - mające charakter prologu - zdjęciowe sekwencje naturalistycznie przedstawiające fizyczny rozkład zwierzęcych zwłok zamkniętych w słojach z formaliną, penetrowanych przez sępy ciał zwierząt, toczonych przez robactwo wewnętrzności. Na tym tle pojawiają się kilkusekundowe ujęcia trupów ludzi na ulicy z białą figurą Matki Bożej jak wykrzyknik na dalszym planie oraz taniec stad ptaków na szarym niebie.

Anna Keller próbuje wyjechać z ogarniętego szaleńcem okrucieństwa kraju, zabierając ze sobą materiał do badań i ocalałą w pogromie Tutsi Rwandyjkę, córkę profesora. Nie ma dość pieniędzy na opłacenie się pazernym urzędnikom, walutą może okazać się jej kobiecość. Nie, nie ma sceny gwałtu. Nie ma w ogóle brutalnych scen, wszystko dzieje się poza kadrem, a o przeżyciach bohaterek świadczą gesty, wyraz twarzy, ascetyczne dialogi, wypełnione emocjami aż do wulgaryzmów.

W filmie zastosowano ostry montaż, ujęcia urywają się nagle. Kolejne sekwencje są obrazami z Polski. Anna próbuje urządzić Rwandyjkę, ale napotyka na urzędniczą obojętność. Zostaje sama z dziewczyną nieznającą języka, obcą kulturowo, za którą czuje się odpowiedzialna i związana wspólnymi przeżyciami. Nie lubi roli, w którą weszła, chciałaby się odciąć od trudnych przeżyć, a ta dziewczyna... Claudine próbuje spełnić oczekiwania, jednak narastają jej wątpliwości, zastanawia się, czy jej ucieczka nie jest zdradą wobec umarłych, których pozostawiła niepochowanych.

Oglądamy ujęcie, kiedy dziewczyna starannie zapisuje imiona, obok pracownicy kreśli znak krzyża przy każdym imieniu. Kiedy lista jest gotowa, najpierw urywa kawałki kartki, które zjada, później w rozpaczy wypycha do ust całe strony. Cięcie.

Nie ma w filmie Krauzów bezpośredniego odniesienia do znanych wątków kultury, nie ma odniesienia do zdarzeń, które w nas, Polakach, budzą najgłębsze emocje. Problem, który dręczy Claudine literacko przedstawił Sofokles w postaci Antygony. Chrześcijańska w ponad dziewięćdziesięciu procentach Rwanda zakpiła również z chrześcijańskiego nakazu „Umarłych pogrzebać”. Polityczna zemsta wzięła górę nad religijnym i ludzkim obowiązkiem szacunku dla zmarłych.

Joanna Kos-Krauze w wywiadzie dla Newsweeka powiedziała: „Najczęściej słyszę pytanie: „dlaczego Rwanda?”. Czasami odpowiadam złośliwie: „A dlaczego nie?”. A tak na serio, dlatego, że pochodzę z kraju, gdzie wydarzył się Holokaust i mam obowiązek zadawania pytania, które powinno być zadawane w każdym pokoleniu. O źródła przemocy - mówi Joanna Kos-Krauze i dodaje: - Wszystko zaczyna się od słów, od naznaczenia ludzi w imię źle pojmowanego patriotyzmu. (...)

- Tych masakr, które się wydarzają, bo przecież wciąż mają gdzieś miejsce, 23 lata temu w Rwandzie, dziś w Syrii czy Sudanie Południowym, nie traktuję wyłącznie jako doświadczenia danego narodu - mówi Joanna. - Ludobójstwo jest doświadczeniem ogólnoludzkim. Może się wydarzyć wszędzie.”

Myślę, że również nie bez podstaw byłoby skojarzenie, że to, co stało się w Polsce po 2010 roku, jest w jakimś stopniu paralelne do problemu rwandyjskiego. Podzieliliśmy się na dwa wrogie plemiona, rozkopujemy groby, ciskamy na siebie wzajemnie oskarżenia. Myślę też, że twórcy filmu mieli tę świadomość, przecież wybór tematu należał do nich. „Wszystko zaczyna się od słów, od naznaczenia ludzi...”

Owo bezpośrednie odniesienie do bieżącej sytuacji byłoby zbyt powierzchniowe, uwikłane w publicystyczne wątki, gdyby nie istota chrześcijańskiej koncepcji człowieka, sformułowana między innymi przez Erica Lionela Mascalla, który odwołuje się do doktryny o upadłych aniołach.

Krystyna Lubelska w marcu 2007 roku pisała w „Polityce”: „Gdy pewien krytyk zapytał Nikifora, po co maluje, ten odpowiedział: „Żeby ludzie widzieli, jak wygląda niebo, jak wygląda piekło”. Z tych samych powodów Krzysztof Krauze robi filmy. „Sartre powiedział, że piekło to inni - mówi Krzysztof. - To nieprawda. Piekło tkwi w nas. Gdy nie umiemy go zwalczać, dzień po dniu, godzina po godzinie, zło wygrywa.”

Motyw pogrzebania umarłych staje się siłą sprawczą akcji. Anna Keller porządkuje i oddaje znajomemu archiwum ojca, żegna się z nim w domu opieki. Bohaterki wracają do Rwandy, by odszukać ciało i pogrzebać profesora, ojca Claudine, z którym Annę łączyła jakaś intymna relacja, znajdująca odbicie w pytaniu Claudine: „Czy ty kochałaś mojego ojca?”

Fizycznie odszukanie ciała jest niemożliwe, ktoś mówi dziewczynie, że będzie musiała poświęcić na to całe życie. Nie uzyskała też odpowiedzi oprawcy, dawniej przyjaciela, który dokonał egzekucji.

Stajemy razem z Claudine bezradni wobec pytań o źródła zła, o to, jak to jest,



że ludzie stają się potworami. Z tymi pytaniami dziewczyna zostaje w Rwandzie. Anna wraca do Polski, by pogrzebać ojca i nakarmić ptaki. Śpiewu ptaków w Kigali posłucha z magnetofonowej taśmy, którą dostała pocztową przesyłką. Koniec.

Film „Ptaki śpiewają w Kigali” ma skrajne oceny, od zachwytów nad artystyczną formułą obrazu, jego głęboką metaforą, do zupełnej negacji wszystkiego, fabuły, dialogów, zdjęć i montażu. Jedno jest pewne, nikogo nie pozostawia obojętnym. Nie budzą też wątpliwości aktorskie kreacje, obie według jednych i drugich stanowią o wartości filmu.

Kiedy rozmawiam o filmie z przyjaciółką Basią, inaczej interpretujemy obrazy i sceny. Ją fascynują zdjęcia, mnie metaforyczna, wręcz metafizyczna podskórna warstwa filmu, akcentowana w elementach scenografii, skąpych dialogach, fabularnych epizodach. Ona skupia się na realistycznej podstawie fabuły, racjonalnych motywacjach, mnie wciąga symbolika, odniesienia i konteksty kultury. Basia twierdzi, że intelektualizuję, że przerysowuję odbiór. Pewnie ma rację. Tyle w „Ptakach” niedopowiedzeń, ledwo zarysowanych wątków; w każdym razie jedno jest pewne, film trzeba obejrzeć, mimo że nie jest łatwy w odbiorze.

Czesława Długoszek, Objazda

„Dunkierka” - film gigantyczny, wstrząsający



„Dunkierka” to film zrealizowany z rozmachem, techniczne przedsięwzięcie doprowadzone zostało do perfekcji. Krytyka określiła ten film jako majstersztyk sceniczny wielkoprzestrzenny



Reżyser i scenarzysta Christopher Nolan oszałamia widza liczbą statystów, ilością sprzętu i środków potęgujących emocje podczas oglądania toczącej się wojny. Operacja „Dynamo” - pod takim kryptonimem rozpoczęto na przełomie maja i czerwca 1940 roku ewakuację Brytyjskiego Korpusu Ekspedycyjnego oraz części wojsk francuskich i belgijskich z Dunkierki. Łącznie czterysta tysięcy żołnierzy oczekiwało na pomoc pod naporem zbliżającego się frontu. Niemiecka armia otoczyła wojska alianckie. Wycofujące się oddziały zostały okrążone i uwięzione na plaży między morzem, a siłami przeciwnika. Rozpoczęła się zacięta walka. O tym opowiada film. Sceną otwarcia są wąskie

uliczki francuskiego miasteczka prowadzące do szerokiej plaży. Tutaj rozgrywa się dramat krwawej rzezi Anglików i walk powietrznych myśliwców RAF-u, które toczą zażarty podniebny bój z wrogiem nad kanałem La Manche. Lotnictwo stara się za wszelką cenę ocalić ewakuujących się żołnierzy.

Akcja filmu rozgrywa się na dużej przestrzeni: na lądzie, morzu i w powietrzu. Pilot Farrier - gra go Tom Hardy - zapewnia wsparcie lotnicze. Żołnierz piechoty Tommy (Fionn Whitehead) próbuje wydostać się z plaży. Kapitan cywilnej łodzi Dawson (Mark Rylance) z synem Peterem (Tom Glynn-Carney) jak wielu innych wyrusza do Dunkierki, by pomóc w ewakuacji żołnierzy. Setki niewielkich łodzi z załogami wyrusza z desperacką pomocą. Są to właściwi bohaterowie filmu, ich losy śledzimy między kolejnymi wydarzeniami operacji „Dynamo”.

Muzyka Hansa Zimmera przeszywa bębni. Kadry filmowe Van Hoytema układają się w kolejne niesamowite batalistyczne sekwencje. Ujęcia przybliżają szerokie pole, po którym poruszają się bohaterowie. Ale są to pozornie otwarte przestrzenie lądu, morza i powietrza. W rzeczywistości sekwencje te zrealizowano na małej łodzi czy w kokpicie samolotu lub na zatłoczonym molo, na którym bohaterowie znajdują się też w stanie klaustrofobicznego i permanentnego zagrożenia.

Reżyser Nolan oszczędny jest w słowach. Jest to chyba najbardziej okrojony jego film z dialogów i niewątpliwie wychodzi mu to na dobre. Obserwujemy twarze pełne lęku i z wątplenia zamiast słuchać patetycznych nienaturalnych kwestii wypowiadanych w chwilach zagrożenia. Jest cisza nawet kiedy rozbitkowie szczęśliwie docierają na statek. Nie ma napompowanych do granic możliwości wewnętrznych, moralnych rozterek, które twórcy kina wojennego lubią wykorzystywać. Kiedy śmierć może nadejść w każdej chwili, nie ma czasu na rozmyślanie.

Krytyka przewiduje, że Hoyte van Hoytema otrzyma Oscara za zdjęcia. Już w „Spectre” pokazał swoje ponadprzeciętne możliwości i wizjonerstwo sceniczne. Duet Hoytema - Nolan pokazuje na czym polega esencja kina. Nie epatuje okrucieństwem, a ukazuje rzeczywistość wojennej pożogi. Widownia natychmiast utożsamia się z akcją filmu, który wciąga widza.

Nolan pokazuje ludzi w konkretnych sytuacjach, starających się przeżyć. Nie ma wśród nich herosów, tak naprawdę bohaterem jest każdy. Prowadzi akcję w dość dużym tempie, stawia na bohatera zbiorowego. To dobre posunięcie. Ani na chwilę nie ma się wrażenia, że w którymś momencie film zwolnił tempo i nie trzyma w napięciu.

„Dunkierka” to obraz patriotyzmu i niezłomności ducha w zderzeniu z wojenną machiną. Są batalistyczne sceny, pokazany jest makabryczny obraz wojny. Jest to też film o zwykłych cywilach, którzy nagle muszą się zamienić w bohaterów, ratując żołnierzy uwięzionych po drugiej stronie kanału La Manche. Dokumenty z tego okresu mówią, że w rejonie Dunkierki zaokrętowano i ewakuowano do W. Brytanii ok. 340 tys. żołnierzy brytyjskich i francuskich, odciętych przez wojska niemieckie we Flandrii. Film dokumentuje heroizm i wolę ratowania każdego żołnierza za wszelką cenę.

Włodzimierz Lipczyński, Słupsk

wiersze najnowsze

Jan Stanisław Smalewski, Bąkowo

ŁĄKA

Wszystko na tej łące żyje po to
żeby zakwitnąć
a potem żeby rozmnożyć się
i umrzeć

Piękne jest głośne rozkwitanie łąki
w koncertach świerszczy, pszczoł
i trzmieli
w kołysankach śpiewu ptaków
i zapachu traw

Piękne jest ciche umieranie kwiatów
Jak panny zanim zostaną matkami
jak wdowy zanim wiatr je zabierze
kwitną
Pachną zmieniają barwy i rodzaj
a potem umierają jak łąka

Piękne jest umieranie łąki jesienią
w wiałach mgieł
w pamięci siana
A kiedy ją otulą śniegi
staje się płaszczyzną lodowatej pustki
by znów się odrodzić w wiosennej zieleni

Piękne jest to continuum życia łąki
bez żalu i strachu przed śmiercią
- dla kwiatów nasion
i dla miłości

Grzegorz Chwieduk, Kępice

ŁĘK

Dzień coraz bardziej niepewny.
Nieruchomieje dawna radość. Rozkwita
kwaśne postrzeganie świata. Chcemy
spróbować uśmiechów i się zacinamy.
Życie pozbawione normalności.
Ciemnieje niebo. Myśli błądzą jak ogłupiałe
i zdradzone ptaszyska. Grzmiemy.
Deszcz przypomina łzy. Zniknęli przyjaciele.
Wewnętrzny chaos. Kurczy się wiara.
Bliżej nam do śmierci niż do serca.

UŚMIECH

Ciągle do czegoś się przydaje. Umie
pomóc. Obiecuje piękniejsze życie.
Strumień optymizmu. Ciepło i radość.
Promienie słońca. Pewność jutra.
bezcenna chwila. Słodkie nieróbstwo.
Powtarzalny rytuał. Znak ulotny

i delikatny. Nieudawana dobroć.
Ma w sobie miejsca trudne.
Przypomina drzewo, które łatwo ściąć.
Wie, jak smakuje ból. Nieraz tak mało
dostaje w zamian.

Marian Kwidziński, Białogard

BEZGUSTOWNA JESIEŃ

Niebo zwisa kiścią jesieni
pocałunkiem lata natchnione
w oknach szyby zbałamucone
negliżem lata
mysi ogonek w zagonie się chowa
bez słowa na do widzenia
myśli spocone
w garści niesione
w kikut
skazane na śmierć
Przy furtce pies adresuje
swojskie spojrzenia znajome
w kałuży deszcz
haftuje jesienne nanufary
wiewiórka toczy orzech
po kryjomu
byle do domu
Sny uciekają przed burzą
pod ciepłą kołdrę zamyśleń
koci pazurek leniwie pomaga
paciorki modlitwy babci przesuwając
rozbawione główki makówki unuczają
na pożółkłej fotografii
śpią nadspodziewanie
zagubiona ćma mocuje się
bezlitośnie z lampionem
cisza zapomniata swoje imię
na śmierć zamysłona

Krystyna Pilecka, Koszalin

ZANURZENIE W JESIENI

Jesień
ręce twoje
pachną deszczem
chłoniemy zapach spadającej rosy
ust wilgotnością...
czerwienią jarzębiny zauroczeni
układamy bukiety
zbierając opadające liście -
zanurzenie w jesieni
Ot, wrzesień jesień ...

Wczoraj
jeszcze szeptem
rozmawiały z wiatrem o kolorach

liście złote w odcieniach brązu i czerwieni
dziś już dywan liściasty pod nogami w deszczu
kroplami tęczo się mieni...
Ot wrzesień jesień -
zanurzenie w jesieni

A lata jakby żal...

Ziemowit Szafran, Słupsk

DOSIĘGNAĆ CHMUR...

Jak pragnę znów dosięgnąć chmur
Zapatrzyć się w majestat Tatr
Mieć pod stopami szczyty gór
Niebieskie niebo widzieć z bliska
Wielkiego Wozu sięgnąć w wieczór

Tak gwiazdy wiszą nisko...
Z hal pragnę spojrzeć na urwiska
na stoki, turnie, piargi
Poczuć znów zachwyt i beztróskę
Z duszy płynącą radość
A z serca pieśń do gór miłosną
Choć przyzna ktoś...
To dziwny stan...
Tak kochać piękno zimnych skał...
Cóż, kiedy kocham...
Więc pragnę...
Pod dach schroniska schować się
kiedy nadchodzi halny z hal
i rozkołysze świerków las
jak morski sztorm lub szkwał
A kiedy słońce wyjdzie zza chmur
Rozświećli błękit nieba
Posłucham smreków śpiewu
I wodosпадów szumu
W kosodrzewiny odpoczną cieniu
Z Mnicha na Morskie Oko spojrzę
I Rysy w lustrze wody dojrzę.

Zdzisław Opałko, Częstochowa

OKAZJA

znowu zaczynam od początku
nowe miejsce słowa dźwięki
choć nie całkiem inne bo przecież
nie narodziłem się wczoraj
po prostu jestem gdzie indziej
tak mi się przynajmniej wydaje
więcej powietrza zieleni ruchu
to na pewno
i noce z gwiazdami jakby bliżej
w dotyku zamyslenia

tej nocy wypatrywałem meteorów
z roju Perseidów
niestety
w dysponowanym czasie
nie ukazał się ani jeden
choć wychodziłem kilka razy przed próg
z nadzieją

bo z tej okazji
jak mi powiedziałaś przez telefon
patrzac w niebo
miałem pomyśleć o tobie

Andrzej Szczepanik, Bytów

MYŚLĄ ŻEŚMY SŁABI

Niektórzy z nas już uciekli od perlistego śmiechu
szczęścia wypełniającego wnętrza -
wiary że jest miłość co pieści ideały
zesmutnialiśmy i kolor nam obcy
a zieleń nie koi nam serc
nie żyjemy euforią radosnego zmęczenia
zważyliśmy w skuteczność budowania -
zagłuszeni bezradni i bezczynni...
zdeptani krokiem polskiej falangi
tupotem szeregów warkotem werbli
furkotem proroków maszerujących
narodowców jak kiedyś gdy bezlitośni
Hunowie śmierć nam nieśli
strasząc połamanym krzyżem
okrutni w faszystowskiej desperacji

myślą żeśmy słabymi ludźmi - Polakami
z innego sortu co zniechęceni walą
głową w mur bez siły i woli
chcą nas wdeptać w naszą polską
ziemię byśmy umarli w zapomnieniu
z ciemniem w sercu

ale wyjdziemy im naprzeciw z okiem pełnym dumy
wykrzykujemy pretensje w duszy zaśniedziałe
zbierzemy w sobie siłę i ufność w triumf -
bośmy mądrzy i współcześni
nie ulegniemy tym co schronieni za
parkanem sumienia
bijąc się w piersi czekają rozgrzeszeń
tworząc dogmaty nieudaczej władzy
wykreśliły z pamięci obraz dartej flagi
gdy z trybun gdzie prawda
winna płynąć rzeką - pogardę narodom
wroży śmiech gówniarza
nie wybaczymy bo płacić będą łzami
pokolenia
wytrwajmy - czas wykrzesać iskrę
niech wybuchnie płomieniem i spali idee
co biel róży zmieniły w nienawiść
tylko wytrwajmy!

MOJE MIASTO

Mimo upływu dziesiątków lat
Których wspomnienie jak drzazga tkwi
Bliski mi nadal radomszczanski świat
Czasami jeszcze mi się śni
Wracając łaki i wierzby nad Wartą
Lasy sosnowe w drodze na Bobry
Wciąż jestem zżyty z tą wizją upartą
I myśl mnie dręczy czy jestem godny

Miłości jaką ciągle darzę
To miasto, które mnie chowało
Za którym tęsknię i o którym marzę
A które o mnie nie będzie pamiętało.

Na Dobryszyckiej po deszczu chodniki
Mokre i krzywe, błotem zdeptane
Pachniały niczym jarmarczne pierniki
Na żółte nitki nanizane
A w kamienicy na Przedborskiej
Ktoś stale grał na fortepianie
W sąsiednim domu u pani Molskiej
Ułan na koniu wisiał na ścianie
Wieczorem dzwony jęczały u Fary
Szarość ściemniała kościelne wieże
W ratuszu dzwoniły zmęczone zegary
Składając nocy cień dnia w ofierze
Na starym cmentarzu składałem kwiaty
Patrzac na grobów zdrapane tablice
Czytałem historie życia i dramaty
Oddane śmierci najskrytsze tajemnice
Teraz gdy miastu odwiedziły składam
Zapalam znicze na ulicy
I ojcu o sobie opowiadam
A ojciec słucha - z kamiennej tablicy.
Nie wielki człowiek czy myśliciel
Nie aktor co swą rolę grał -
Zamordowany polski nauczyciel
Co syna tylko z listów znał.

Emilia Maraśkiewicz, Darłowo

KOŃ

tylko dzięki ojcu pięknieje
dostaje zgrabnej kształtnej szyi
nabiera smagłości nóg

grzywa skapuje coraz niżej
jak winorośl jak rześisty deszcz
lub włosy dziewczyny

ogon przemienia się w smugę
kopyta w piękne stopy ukochanej
a maść w urodzaj

traci pospolitość zwierzęcość
chwytą wiatr w żagle i trzyma ster
bogaci się na chwałę żniw

ojciec kupił go na targu
aby został tym koniem nad konie
o jakim się nikomu nie śniło

konia nie szacuj według tego
czy ciągnie furmankę pług brone
czy stoi żeby oczy cieszyć

wielką wolę miał mój ojciec
który zmienił całe swoje życie
na pociechę ludzką

Zenon Marian Lasoń, Słupsk

WIATR

Za wsią
na wzgórzu wśród zdziczałych krzewów
leżą jeszcze młyńskie kamienie
które cicho nucą
melodie wiatrów

Gdy dotkniesz je ręką
i otulisz myślami wspomnień
one przemówią do ciebie szumem
skrzydeł
i jękiem mielonego zboża

Ujrzysz też drogę polną
i usłyszysz parskanie koni
ciągnących wozy na żelaznych kołach
- potem poczujesz smak i zapach
świeżego wiejskiego chleba

Emilia Zimnicka, Izbica

UKOCHANA MATKO LUDZKOŚCI

Mario wymodłę z Twoją pomocą
Bochen chleba dla ubogich
Namiastkę domu dla bezdomnych
Splacę swój dług wdzięczności
Szumem olch i wierzb nadrzecznych
Pocałunkiem rosy na pąkach róży
Kocham Cię Matko jak potrafię
Niech mą spowiedzią
Będzie szum wiatru znad jeziora
Jego pieśni wydumane
W ciemną noc
Cała wielka Boża moc
Której Ty Mario służysz od wieków
Litujesz się serdecznie
Nad każdym człowiekiem

MAMO

Królowo mego dzieciństwa
w koronie warkoczy
Z barwną zapaską na ramionach
To Ty nauczyłaś mnie modlitwy do
srebrnej kapliczki księżycy
Rozmawiać z ptakami, kotem, psem
I śpiewać piosenki z poszumem potoku
Świat wtedy był nieforemną figurą
Niewiele z tamtych czasów zostało się
w pamięci
Zawsze marzyłam o dalekich wędrowkach
Pytając co też jest za ostatnim domem
Zamościa
Ostatnią łaką, ostatnim polem
Potem modliłam się przed kapliczką
By rozmowa z Bogiem rozjaśniła mi w głowie
Ukazując mapę na dorosłe życie
Później została mi w sercu
Zwykła słowiańska tęsknota
Za ciepłym rodzinnym domem, kościołem
I Ojczyzną

Zadawała nietypowe pytania



Po powrocie do Polski w 2003 r. pracowała społecznie w gronie dawnych i nowych przyjaciół, utrwalając pamięć o ludziach opozycji, którzy w wolnej Polsce wrócili do zwykłej pracy i zwykłego życia



Ewa Sułkowska-Bieriezin (1935 - 2013), polska dziennikarka, poetka, działaczka opozycji demokratycznej w okresie PRL-u, prywatnie żona poety Jacka Bieriezina, siostra poety i dziennikarza Witolda Sułkowskiego. Już od 1945 roku mieszkała w Łodzi. Ukończyła studia na Politechnice Łódzkiej. Następnie pracowała na tej uczelni jako asystent w Instytucie Elektrotechniki. Po wydarzeniach marcowych 1968 roku została odsunięta od zajęć dydaktycznych i pozbawiona stypendium doktoranckiego.

Od wiosny 1969 związana była z antykomunistyczną niejawną organizacją Ruch. W lipcu 1970 została na kilka miesięcy aresztowana i zwolniona z pracy. Od 1976 współpracowała z Komitetem Obrony Robotników, a następnie KSS KOR. Od jesieni 1977 pisywała regularnie w drugoobiegowym kwartalniku „Puls” i uczestniczyła w pracach jego redakcji. Należała również do założycieli Niezależnego Klubu Dyskusyjnego w Łodzi. W mieszkaniu małżonków organizowano często spotkania opozycjonistów. Po sierpniu 1980 roku zaangażowana była w organizację Solidarności. Po wprowadzeniu stanu wojennego została internowana i osadzona w Gołdapi. Przebywała tam od 13 grudnia 1981 do 22 lipca 1982 roku. W lutym 1983 wyemigrowała do Stanów, gdzie pracowała jako redaktor pism: „Dziennik Związkowy” - w latach 1986 - 2001 i „2B” - w latach 1993 - 2000. Współpracowała też z Radiem Wolna Europa w latach 1983 - 1986 i „Nowym Dziennikiem” w latach 1990 - 2003. Była w tym czasie bardzo aktywna. Zajmowała się organizowaniem akcji wspierania opozycji demokratycznej w Polsce, tworzyła i tłumaczyła teksty opozycyjnych piosenek.

Do Polski Ewa Sułkowska-Bieriezin powróciła w 2003 roku. Opracowała „Orła wrona nie pokona, czyli co pomagało nam przetrwać. Śpiewnik internowanych”. Została członkinią Stowarzyszenia Wolnego Słowa, była w składzie zarządu tej organizacji. W Ameryce organizowała akcje wspierania polskiej opozycji.

Przeniosta się z Nowego Jorku do Chicago, gdzie w 1986 rozpoczęła pracę w redakcji „Dziennika Związkowego”. Szybko wtopiła się w zespół i stała się integralną jego częścią. Najbardziej interesowały ją wiadomości z Polski i sprawy dotyczące kultury polonijnej. Gdziekolwiek coś się działo - spotkanie z pisarzem, wieczór poezji czy dyskusja - Ewa tam była, obserwowała, a potem pisała. Znajdowała sobie własne tematy. Przez kilka lat w cyklu „Rzeźby pod gołym niebem Chicago” opisywała nie tylko ich twórców i historie, ale także wrażenie, jakie na niej wywierały. Jej artykuł o teatrze ukazał się w pierwszym numerze dwujęzycznego pisma „2B, Journal of Ideas” wśród tekstów takich autorów, jak: Wisława Szymborska, Jerzy Giedroyc, czy Jan Nowak Jeżorański.

Ewa pisała też o wystawach ukazujących osiągnięcia i perspektywy Polek. Miała dar prowadzenia wywiadów w sposób otwierający rozmówcę, skłaniający do mówienia o sobie i sprawach często trudnych. Zadawała niekonwencjonalne pytania i dostawała nieoczekiwane odpowiedzi. Rozmawiała często z wieloma wybitnymi osobami przyjeżdżającymi z Polski na festiwale filmowe, na występy, spotkania. Miała wspańnięte poczucie humoru. Pisywała żartobliwe limeryki, które ze względu na ich rubasznosc nie nadają się do druku. Zbierała historie działaczy opozycyjnych i składała do kancelarii prezydenta - najpierw Lecha Kaczyńskiego, potem Bronisława Komorowskiego - wnioski o odznaczenia. Jak mówią jej bliscy, była postacią nietuzinkową, świetnie sobie radziła nie tylko w Polsce, ale i w Stanach. Pozostawiła po sobie wiele cennych prac oraz dobre wspomnienia w sercach oddanych jej ludzi.

W 2011 roku prezydent Bronisław Komorowski odznaczył ją Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski. Wcześniej, w 2009 odebrała Srebrny Medal Zasłużony Kulturze Gloria Artis. Odeszła w 2013 roku.

Jadwiga Michalak, Naćmierz

WIERsze O DZIECKU

Jadwiga Michalak, Naćmierz

PORTRET DZIECKA SŁOWEM MALOWANY

*nie prosiło się przecież na świat
wyciągnięto je z trudem spod gruzów
oślepiałymi oczyma spojrzęło
powiekami sklejonymi strachem*

*kto mu zgotował ten los
zamienił świat w rumowisko
w oczach nie ma już łez
nie ma domu szkoły rodziców*

*szary kurz osiadł we włosach
każdą szczeliną ciała
gruz się przewiercił do środka
oddychać nie ma czym*

*nie prosiło się przecież na świat
tak bardzo ufało rodzicom
nie wiedziało co znaczy władza
i w co się bawią dorośli*

*pięcioletnie życie postawiło na szali
dzieciństwa pełnego obaw i strachu
biedne syryjskie dziecko
bronić się nie ma czym*



w państwie zabrakło mądrości
pięciolatniego chłopca
na szali stawiają dorosli
próżność szaleństwo egoizm

świat mu pomalowano wojny koszmarem
na zgłiszczach gruzowiskach
usiadł sęp chaosu obłędu i strachu
uniesie kiedyś w przestrzeń
ogromne skrzydła
swym cieniem przestłoni rozsądek

a może się kiedyś odrodzi
powstanie jak Feniks z popiołów...

Emilia Maraszkiewicz, Darłowo

DZIECKO

wyciągnięte z ruin
całe pokryte siwym pyłem
ma zakrwawioną twarz

nie płacze nie krzyczy
wygląda jakby bombardowanie
zbudziło je ze snu

przypomina posąg
spogląda niewidzącym wzrokiem
daleko przed siebie

wtem pełzający strach
po cichutku dociera do niego
i ściska za gardło

bezdonna sierota
na nikogo nie może liczyć
za wyjątkiem śmierci

spójrz tam o mój Boże
śmierć już niesie dziecięcą duszę
spowitą w pieluszki

nie zdadzą się na nic
żadne łzy litość czy modlitwy
tu pomoże tylko pokój

Łąka aż do lasu



Ten skrawek ziemi różnił się o tyle od innych, że leżał w wilgotnej kotlinie za kilkunastohektarowym gospodarstwem rolnym i wcinając się w płaszczyznę pól uprawnych ciągnął się od samej drogi aż do lasu. Był całorocznym klinem zieleni zagospodarowywanym i uprawianym inaczej niż pozostałe grunty rolne i nazywał się łąką



Łąkę miał każdy, lub niemal każdy gospodarz. Stanowiła część jego ziemi uprawnej, nie była ugorem, ale też na ogół wybierana była z całości gruntów jako ten ich fragment, który najmniej nadawał się pod aktywną rolniczą uprawę.

Łąki całymi latami nie zamieniało się na pole uprawne, chociaż wiadomym było, iż z czasem, gdy darń przy ziemi robi się zbyt gruba, a wydajność zielonej trawy zmaleje, warto ją zorać i uprawić pod ziemniaki czy pszenicę. Warto wtedy, gdy nie leży ona na ziemi podmokłej, na której uprawy te by wygniły.

Ta łąka właśnie na takiej ziemi rosta i jak mawiano: - Bogiem, a prawdą - na nic innego się nie nadawała, jak tylko na łąkę. Stąd trzeba było specjalnych zabiegów, by jej żywot przedłużać, by wydawała nie tylko dużo trawy, ale i wartościowego siana, co w każdym większym gospodarstwie miało znaczenie o tyle duże, że nie tylko krowy tam się pały, ale i na zimę paszę zebrać było trzeba.

Ziemie uprawiano się wtedy końmi, a koń zimą byle jakiego siana dostać nie mógł. Na tej łące rosta już wachlina i kostrzewa owcza, ale dla koni dobrze było posiać jeszcze dodatkowo rajgras i tymotkę, trawy miękkie i soczyste. Potrzeba też było zgromadzić dla nich odpowiednio dużo owsa. Koniom podawano tak zwany obrok wytwarzany z owsa i plew pszennych, no i dobre, pachnące łąką miękkie siano.

W dużych gospodarstwach rolnych, a takie miały zazwyczaj powyżej dziesięciu hektarów uprawnej ziemi, trzymano co najmniej dwie krowy, był przy tym zwykle jakiś byczek hodowany na mięso, no i jałoweczka, która mogła z czasem zastąpić najstarszą krowę.

Trzymano też owce, czasami kozy, i gęsi. Wszystkie te zwierzęta potrzebowały do wykarmienia traw, które stanowiły podstawę ich pożywienia. Krowy zjadały niemal każdą trawę, z wyjątkiem suchych i wyjątkowo szorstkich ostrzyc rosnących na piaskach, sitowia i trzciny łąk bagiennych. Kozy i owce nie gardziły żadnym rodzajem trawy, a gęsi wyskubywały zwykle to, czego swymi szorstkimi jęzorami nie zebrały wcześniej z łąki krowy.

Ta łąka spełniała wszystkie te warunki, a ponadto... ciągnęła się aż do lasu. A pod lasem płynął strumień. Wiosną rosły i kwitły kaczęce i tataraki, a latem dzikie storczyki, kukułki i inne bagienne kwiatki, które sprawiały, że o łące można było rozprawiać nie tylko w kategoriach skrawka ziemi ważnego z punktu gospodarskich potrzeb, ale i istotnej ludowej potrzeby zbioru ziół, robienia kultowych wianków, czy też wiązanek kwiatnych służących do zdobienia domostw z okazji kościelnych świąt, czy dożynek.

Ta łąka mogła na tyle być pewna swojego długiego żywota, że w dużej części leżała na terenie podmokłym, graniczyła z gospodarstwem, w jej środkowej części tkwiło niewielkie oczko wodne, wokół którego rosły gęste wikliny i fruwały ważki, a ponadto... ciągnęła się aż do lasu.

Co roku w maju, gdy tylko zrobiło się ciepło, a trawy na tyle się zazieleniły, by można było na łąkę wygonić (od czego pochodzi wcześniejsza nazwa łąki i pastwiska - wygon) z obory krowy, łąka ożywała pełnią swego jestestwa. Najpierw pojawiały się na niej pierwsze kwiatki, stokrotki i mlecze. Potem z podwórza za krowami nad wodne oczko wędrowały gęsi i kaczki.

Nad oczkiem wodnym pojawiały się żaby, które początkowo odzywały się swym kumkaniem nieśmiało, by potem, zwłaszcza od czerwca dawać głośnie letnie koncerty.

Co jeszcze można było powiedzieć o tej łące. Że tam, gdzie odcinkami palowano (wiązano na łańcuchach przy wbitych w ziemię palikach) krowy, gdzie pozostawiała one ślady swej bytności w postaci krowieńca, nie tylko rosła potem gęściejsza i bardziej zielona trawa, ale po deszczach i ciepłych letnich nocach masowo pojawiały się dorodne, białe pieczarki. Nie trzeba było chodzić aż do lasu, by do pożywienia dołączyć smaczne grzyby.

A las? No cóż, tak jak w przypadku wielu innych lasów, ten las krył swoje tajemnice. I kryje je do dzisiaj, gdyż dotąd nikt ich nie wyjaśnił. Las, który rozciągał się na lekkim wzniesieniu zwieńczonym wieżą triangulacyjną, na którą wchodziłem jako nieletni jeszcze chłopak, by z ciekawością rozglądać się po okolicy, na przestrzeni przylegającej do torów kolejowych pomiędzy Namysłowem i Sycowem skrywał kilkunastohektarowy teren ogrodzony drutem kolczastym. Kilka-naście lat po wojnie ogrodzenie zniknęło, a pusta przestrzeń trwożyła jedynie pozostałością jakiejś niedużej, zniszczonej do fundamentów budowli.

Kiedyś, gdy już byłem na tyle samodzielny, by przez tę naszą łąkę przy lesie samemu chodzić na grzyby, i kiedy odkryłem, że w głębi świerkowego zagajnika przy pagórku na którym zawsze rosły dorodne prawdziwki, znajduje się ogrodzony żerdziami cmentarzyk, zacząłem dociekać pochodzenia tych miejsc. Interesować się, kto został w tym mroku leśnym pochowany.

Ojciec niechętnie podejmował temat, by ostatecznie wyjaśnić mi, iż z tego co mu wiadomo, kiedy wraz z innymi osiedleńcami przyjechał do Ślizowa na Ziemię Zachodnie, jeden z folksdojców powiedział mu, że w końcówce wojny mieścił się tam jeniecki obóz. Zniszczone do fundamentów

mury to pozostałość wartowni, w którą prawdopodobnie trafiła bomba z samolotu. Należałoby spytać leśniczego, bo on też jest folksdojcem, czy to prawda, że na cmentarzyku leśnym przed likwidacją obozu pochowano załogę wartowni, która zginęła podczas nalotu, czy może... jakichś więźniów?

Dwie wersje latami funkcjonowały potem na ten temat. Jeden z folksdojców mówił, że to był obóz niemiecki, a na cmentarzyku rzekomo pochowano jakichś jego więźniów. Druga wersja, leśniczego, to taka, że to był obóz radziecki, a w lesie pochowano dwóch miejscowych księży i dziewięciu innych kolaborantów przeciwstawiających się nowej władzy ludowej.

Przez wiele lat nie mogłem tego zrozumieć do końca. I mimo, że kiedyś, gdy nasza łąka połączyła się z innymi łąkami w przyleśny pas kołchozowych pastwisk, które tym różniły się od naszej prawdziwej łąki, że były tylko pastwiskiem ogólnym, na którym wszyscy mogli wypasać bydło i nikt trawy z niego nie zbierał, wraz z kilkoma kolegami pasąc krowy, przy fundamentach rozbitej wartowni odkopaliśmy skrzynię z amunicją i części do jakiejś broni, też tej ponurej tajemnicy nie wyjaśniono.

Do mojego ojca, podobnie jak do ojców innych moich kolegów, przyjechali milicjanci, którzy nakazali dać nam w skórę za grzebanie w leśnej ziemi. I wyjaśnili, że jeśli nadal będziemy interesować się tym skrawkiem lasu, który nie jest ani łąką ani pastwiskiem, może się dla nas bardzo źle to skończyć.

Byłem tam tego lata, szukałem tych starych śladów, ale ani cmentarzyka, ani tego fragmentu lasu, gdzie kiedyś stała rzekoma wartownia, już nie ma. Wycięto drzewa, wielohektarowy ugór porośły dzikie krzaki. Nie ma śladu po obozie jenieckim, ale nadal pozostała długa, ciągnąca się aż do samego lasu, nasza, o przepraszam - już nie nasza, ale nadal zielona łąka.

Jan Stanisław Smaleski, Bąkowo

Stary majster



Warzecha miał żonę i pierwszoroźnego syna, o którym jednak mówił niechętnie, gdyż ten, jako przodownik pracy wyjechał kiedyś na wycieczkę do zaprzyjaźnionego zakładu w NRD i korzystając z okazji uciekł z autokaru wprost w objęcia imperialistycznej RFN.

Zdarzenia prawdziwe. Opowiadanie powstało z kilku luźnych rozmów i za zgodą byłych pracowników przedsiębiorstwa autobusowego. Zbieżność nazwisk jest przypadkowa.

Ireneusz Warzecha był mistrzem mechaniki działu dużego przedsiębiorstwa autobusowego, w którym przygotowywano pojazdy do wyjazdu na trasę. Należało sprawdzać wszystko: stan hamulców, stan ogumienia, płyny i oleje, stan wycieraczek, a także domykanie się drzwi. Zdarzały się bowiem przypadki wypadnięcia pasażerów podczas jazdy wskutek przepełnienia autobusu w godzinach szczytu komunikacyjnego.

Warzecha był typem robotnika sprzed wojny, choć sam pewnie tamtych czasów dobrze nie pamiętał, bo urodził się w trzydziestym siódmym, w Zamorzycach na Lubelszczyźnie.

Potem, kiedy wieś w czterdziestym trzecim przeszła pacyfikację i zniknęła z powierzchni ziemi, rodzina tułała się od wsi do wsi, zajmując się do prac sezonowych. Później na fali zasiedlania ziem zachodnich, zakotwiczyła na dobre w Słupsku.

Dla majstra Warzechy liczyła się tylko robota, sprawy bytowe podległych mu pracowników schodziły na plan dalszy. Nie zaprzętał sobie nimi głowy. Często mylił nazwiska pracowników, a później krzyczał, gdy przywołany się nie odzywał. Z nikim właściwie nie rozmawiał, tylko chrapliwym barytonem wydawał komendy, zupełnie jak w wojsku na placu apelowym. Ten jego baryton nie był mu przypisany od dziecka, był raczej skutkiem częstego spożywania alkoholu. Zнали go dobrze robotnicy, znała go również dyrekcja przedsiębiorstwa, która dla świętego spokoju i utrzymania dyscypliny, dawała mu wolną rękę. Przez nikogo nieganiony mógł zrobić z każdym, co tylko chciał w majestacie obowiązującego wówczas prawa.

Miał żonę i pierwszoroźnego syna, o którym jednak mówił niechętnie, gdyż ten, jako przodownik pracy socjalistycznej wyjechał kiedyś na wycieczkę do zaprzyjaźnionego zakładu w NRD i korzystając z okazji uciekł z autokaru wprost w objęcia imperialistycznej RFN. Wtedy coś w nim pękło, zamknął się w sobie i dużo pił, nawet w pracy. Na hołubionego mistrza w dziale mechaniki przymykano oczy i to nie tylko z pobudek solidarnościowych, również dlatego że był dobrym fachowcem, a jego alkoholizm tłumaczono załamaniem nerwowym.

Jakoś tak we wrześniu przyjęto do pracy młodego Piotra Szczechowiaka, w podobnym wieku do syna Warzechy. Nie miał chłopak łatwego życia w zakładzie, ale się nie poddawał.

Brał go w obronę ten czy ów, ale bez większych rezultatów. Warzecha swoje wiedział i tępił chłopaka jak mógł, i na ile pozwalały mu przepisy. Piotrek był drobnej postury, zawsze grzeczny wobec starszych i na swoje nieszczęście nie zaglądał do kieliszka.

Warzecha tymczasem pił coraz więcej i czasem dopuszczał się wobec chłopaka gróźb karalnych, krzycząc niekiedy, że... zabije go, wytarza we własnej krwi. - Zniszczyłeś mi matkę łajzo - ryczał tym swoim barytonem aż echo nosiło po zakamarkach hali i powracało ze zdwojoną siłą. Chłopak wtedy stał i wybałuszał oczy. Nie mógł oczywiście znać prawdy o życiu rodzinnym majstra i jedyne, co mógł zrobić, to zaszyć się w kącie i nie wchodzić w drogę rozjuszonemu majstrowi.

Nikt z nas, pracujących nie wiedział, że Szczechowiak był studentem. Miał już wówczas ukończone technikum i tylko dlatego zatrudnił się w dziale mechaniki, ponieważ praca była do piętnastej. W piątki, soboty i niedziele jeździł studiować do Koszalina. Mijały dla chłopaka trudne chwile pod kierownictwem Warzechy, ale się nie uskarżał. Często mówił: - Wszystko kiedyś minie i jeszcze się z tego wszyscy będziemy śmiać.

Był mądry jak na swój wiek i niezwykle uprzejmy. Coś sprawiało, że gdy przebywało się w jego towarzystwie człowiek stawał się jakby lepszym, mniej nerwowym i dziwnie lekkim. Piotrek miał spokój tylko wtedy, kiedy stary mistrz spał za szafkami ubraniowymi upojony do reszty alkoholem.

Aż kiedyś przy piątku powstała sytuacja, która całkowicie odmieniła postawę Warzechy, a chłopakowi dała większy oddech. Stało się to po imieninach mistrza, który pił już od tygodnia. Po drugim śniadaniu, gdy prawie wszyscy leniwie rozchodzili się do swoich zajęć, krzyk brygadzysty wdarł się w ciszę pomiędzy pracą kompresora a pracą już uruchomionego silnika autobusowego. Diagnoza była lapidarna i dość nieoczekiwana. Warzechę, jak twierdził brygadzysta, trawił wewnątrz ogień, prawdopodobnie na skutek długotrwałego picia spirytusu. Dla wszystkich, bajka o ogniu wydała się trochę naciągana i wówczas brygadzysta krzyknął, że to samozapłon, i sprawę przyrównał do stogu siana, czym jeszcze bardziej wprowił wszystkich w osłupienie, głównie młodszą część załogi. Majster tymczasem siedział oparty

o szafkę narzędziową i charczał usiłując tapać resztki powietrza, które nie wiedzieć czemu opuszczało zasięg spirytusowych wyziewów. Nie wyglądał najlepiej. Tylko brygadzysta wiedział, co ma robić w tej sytuacji. Być może był świadkiem podobnych zdarzeń, a może z autopsji. Wyrwał pozostałych z otępienia, krzycząc: - Komu chce się łąć? - Spojrzeliśmy po sobie robiąc głupie miny. Ale on powtórzył jeszcze dosadniej: - No, komu chce się łąć? Prawie każdy wzruszył ramionami, oprócz chłopaka. Ten nie był na przerwie, bo czytał jakąś książkę w kącie działu. Brygadzysta stanął przed chłopakiem i podał mu metalowy pojemnik: - Lej! - krzyknął. Piotrek posłusznie wypełnił polecenie. Nie wiadomo, kogo bał się bardziej w tym momencie - Warzechy, brygadzysty, czy tego, że nie odda moczu?

Po wszystkim brygadzysta w asyście kilku starszych robotników podniósł Warzechę, aby się nie zachłusnął i wlał mu całą zawartość pojemnika do gardła. To co zrobił wywołało na naszych twarzach grymas obrzydzenia, a następnie odruch wymiotny. Po chwili jednak majster przestał charczeć i skowyczeć z bólu. Przyjechało pogotowie. Szczechowiak widział tylko jak jeden z ratowników poklepywał brygadzystę po plecach. Dopiero teraz zrozumieliśmy powagę sytuacji. Piotrek zapewne nie sądził, że od jego uryny może zależeć kogoś życie, a już na pewno nie życie majstra Warzechy.

Ireneusz Warzecha od tygodnia pozostawał w szpitalu, jego przetyk i wewnętrzne organy zostały poparzone w wysokim stopniu. Leżał, jak jakaś niepotrzebna człecokształtna kukła obleczona w zieloną pidżamę z przyklejoną do twarzy szklaną rurką. Widać było, że strasznie cierpi. Uszła z niego pewność siebie, nieomylność, pycha i brak ogłady, która powodowała, że stawał się twardy, jak skała. Ale każda skała ulega kiedyś erozji, również Warzecha jej uległ i stawał się bardziej ludzki. Śmierć jeszcze nie zapukała w drzwi szpitalnego pokoju. Ale dopadła jego syna, tak dalece przez niego znienawidzonego. Zginął w wypadku samochodowym, gdy na wieść o wypadku ojca jechał swym nowo zakupionym mercedesem z żoną i dwuletnią córeczką. Pijany traktorzysta



z baniakiem na gnojowicę zjechał im drogę. Chcąc uniknąć zderzenia próbował zjechać do rowu, lecz samochód zarzucało na miękkim poboczu i wpadł na drzewo. Ktoś wtedy na szpitalnym korytarzu powiedział cynicznie: - Nie tu, to tam...

Mistrz w oczach Piotra Szczechowiaka i innych robotników już nie był tym znienawidzonym Ireneuszem Warzechą. Powietrze, które w zetknięciu z hektolitrami wypitego alkoholu zdawało się opuszczać w pośpiechu ciało, uczyniło z niego wieszak z zawieszoną na nim ludzką skórą.

Podczas pierwszej wizyty załogi w szpitalu nie podniósł oczu, chociaż Piotrkowi wówczas wydawało się, że w którymś momencie spojrzał na niego, i że to spojrzenie nie było już takie groźne. Było w nim coś z prośby o wybaczenie.

Przecież na początku był dobrym ojcem i mężem. Tylko wstąpiło coś w niego potem. Teraz pewnie swoje życie chętnie oddałby za zmartwychwstanie syna...

Na twarzy majstra pojawiły się łzy, a potem jego sylwetką wstrząsnął spazmatyczny płacz. Przyszedł lekarz i odwiedzający chorego musieli opuścić pokój. Gdy wychodzili, w akcie desperacji Warzecha uczepił się ręki Piotra i pomrukiem oraz skinieniem głowy poprosił lekarza o pozostawienie chłopaka. Majster płakał, chłopak stał zakłopotany przy szpitalnym łóżku, przytrzymywany wychudłą dłonią. Potem i on musiał opuścić szpitalną izbę. Piotrek przyszedł następnego dnia w asyście kilku robotników i cieszył się, jak dziecko, że majstrowi nic nie jest.

Warzecha wyszedł ze szpitala po miesiącu. Do pracy wrócił po pół roku, brakowało mu jeszcze trochę do emerytury. To nie był już ten sam stary majster. Choć mógł mówić, to jednak nie krzyczał, z każdym rozmawiał, a najwięcej z Piotrem. Gdy ten zaliczał ostatni rok studiów pojechał swoim samochodem do Koszalina w asyście kilku robotników z bukietem kwiatów. Zażyłość, jaka ich łączyła od chwili wypadku, była godna naśladowania. Byli jak syn i ojciec, nawet fizycznie nie różnili się wiele, co można było dostrzec dopiero teraz, gdy twarz majstra nabierała kolorów i nie przypominała już rozgniecionego sinego ziemniaka.

Nie było też tajemnicą, że Piotrek jest częstym gościem w mieszkaniu majstra. Przychodził tam nawet wtedy, kiedy już poznał Helenę i wspólnie rozsmakowywali się w niedzielnych obiadach przygotowywanych przez żonę majstra. Potem Warzechowie zostali świadkami na ich ślubie, a na weselu majster nie tknął nawet kieliszka wódki.

Piotrek wkrótce został kierownikiem działu mechaniki i, jak niektórzy twierdzili, nie bez wyraźnych wpływów majstra. Potem majster odszedł na emeryturę i płakał, kiedy Helena i Piotrek poprosili o nazywanie go swoim tatą. Jak się okazało, oboje pochodzili z domów dziecka...

Dwa lata później przyszła na świat Justysia, najukochańsza córka małżeństwa Szczechowiaków, oczko w głowie dziadków Warzechów. Piotr wkrótce został dyrektorem przedsiębiorstwa. Potem awansował do Zjednoczenia w Koszalinie. Warzecha zmarł w dziewięćdziesiątym ósmym i o dwa lata przeżył swoją żonę Marię.

Justyna po ukończeniu studiów na renomowanej krakowskiej uczelni wróciła do Słupska i została głównym planistą w jednej z firm, założyła rodzinę i ma dwie piękne córki. Piotr i Helena obecnie mieszkają w Warszawie, gdy przyjeżdżają do Słupska, swoje pierwsze kroki kierują na grób Warzechów.

Czesław Kowalczyk, Słupsk

Sprzeciwi



Zachwyca się przyrodą, krajobrazami i życzliwością obcych ludzi. W samotnej wędrówce po świecie towarzyszy jej łopot białoczerwonej chorągiewki. Sił dodaje wiezione przesłanie sprzeciwu wobec przejawom dyskryminacji

Palec Czarnobyła napiętnował Annę - moją siostrę. Musiała pożegnać się z tarczą i zdrowiem. Liczne dolegliwości związane z utratą wapnia w organizmie uwieczniły uszkodzenie stawów biodrowych. Chodziła o dwóch kulach i cierpiała. Czekwała na operację i zbierała pieniądze na endoprotezy. Bardzo niskie wynagrodzenie nie pozwoliło jej nigdy zgromadzić odpowiedniej kwoty. Miała nieco ponad czterdzieści lat i wizja wędrówki przed telewizorem była nie do przyjęcia. Zaczęła jeździć na rowerze, spożywała różne galaretki, wapno, witaminy... Po kilku latach powierzchnie stawów częściowo się zregenerowały i kule oraz operacja nie były potrzebne. Polubiła rower, który pozwolił zapomnieć o kalectwie.

Tuż przed skończeniem sześćdziesiątego roku życia, dołączyła do towarzystwa rowerzystów na Śląsku i jeździła z nimi na rajdy jednodniowe, potem dłuższe po Polsce, a następnie wokół Krymu (dzienne odcinki przekraczały nawet ponad 100 km). Trasa do Gruzji była ostatnią w tym zespole. Siostra jest rannym ptaszkiem, wołała wstawać rano i wcześniej rozpoczynać jazdę, w przeciwieństwie do reszty zespołu. Gdy oświadczyła, że odłączy się i pojedzie sama, to współtowarzysze mieli ubaw. - Zgubisz się za pierwszym zakrętem - prorokowali. I pojechała sama, do Hiszpanii, Portugalii,

Słowenii, na Bałkany, a potem już doliczała do setki kolejne miejsca odwiedzane w Europie.

Do każdej dalekiej trasy przygotowuje się starannie. Studiuje historię oraz mapy krajów mijanych i docelowego. Trzeba wspomnieć, że jest filigranową sześćdziesięcioosmiolatką i dysponuje śmiesznie małą sumą pieniędzy (nie ma sponsora). Zna jedynie język rosyjski, słabo niemiecki. Gotuje sobie sama, wozi namiot, śpiwór, butlę gazową i wszystko co niezbędne nawet podczas dwumiesięcznego pobytu w trasie. Jej rower przypomina jucznego wielbłąda. Zmaga się z kaprysami pogody, wyzwaniem drogi i własnymi słabościami. Znajomi pytają: - Jak się porozumiewasz w obcym kraju, skoro nie znasz języka? Ona na to, że w Polsce nie potrafi dogadać się z wieloma po polsku, więc za granicą nie może być gorzej.

W zeszłym roku pojechała na Korsykę, a w tym, 2 maja wybrała się na Kretę. Obecnie jest w drodze powrotnej.

Romana Małecka, Kwakowo



Noc poezji i muzyki w Radomsku



Szmer zazdrości przeszedł po sali gdy opowiadałem o naszych antologiach poezji wydawanych w Słupsku przez czternaście lat i uroczyście wręczanych nam, poetom na Powiatowych Spotkaniach z Poezją (Nie) Profesjonalną w Damnicy

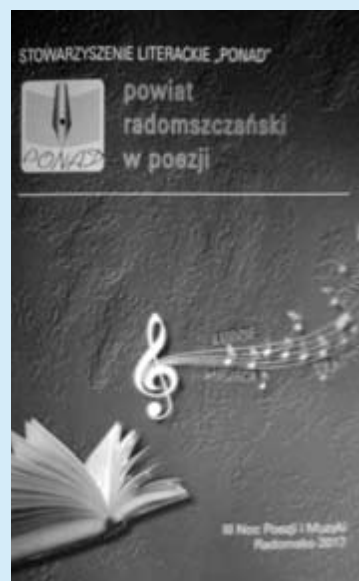
Stowarzyszenie Literackie „PONAD” w Radomsku zorganizowało we wrześniu br. spotkanie poetów połączone z konkursem jednego wiersza. Odkryło się ono w ramach III Nocy Poezji i Muzyki. Tym razem organizatorką spotkania była Edmunda Bodanka - szefująca stowarzyszeniu i zaprosiła do udziału w nim rozproszonych po Polsce i świecie radomszczaków, aby zaprezentowali swoją twórczość. Zaproszenie przyjęli poeci, literaci, publicyści z dziewięciu województw, co w połączeniu z miejscowymi nadało imprezie rangę małego festiwalu. Bogata część artystyczna, urozmaicona występami młodzieży rozśpiewanej, tańczącej i grającej na wielu instrumentach, połączonymi z recytacjami spowodowały, że widownia nie szczędziła aplauzu.

W konkursie jednego wiersza wzięli udział poeci z różnych grup wiekowych, ale przeważali seniorzy - mocno zaangażowani w poetyckie rzemiosło. Prezentowane utwory propagowały ziemię radomszczańską we wszelki możliwy sposób. W czasie obrad jurorów czas wypełniali zaproszeni twórcy spoza województwa łódzkiego. Niżej podpisany otrzymał też szansę zaprezentowania swojej twórczości. Przygotowując się jeszcze w Bytowie zastanawiałem się, czym mogę zainteresować licznie zgromadzoną publiczność. Wybrałem do

prezentacji napisane ponad rok temu „Wspominki strzałkowskie”, a właściwie ich prolog wprowadzający do opisu mojego przeżywania czasu wojny we wsi Strzałków koło Radomska, gdzie moja mama prowadziła tajne nauczanie. Ponieważ był to okres którego - jak się później okazało nikt z zebranych na sali nie przeżywał - temat wzbudził zainteresowanie i przyjęty został jako dokument stanowiący historię opowiedzianą przez jej uczestnika - z entuzjazmem i wzruszeniem.

Wspomnienia znalazły się również w moich dwóch wierszach „Kuźnia” i „Moje miasto”, które znalazły się w tomiku wydany przez Starostwo Powiatowe w Radomsku wraz z kilkudziesięcioma innymi utworami. Swoje wystąpienie zakończyłem informacją o naszej działalności stowarzyszeniowej, współpracy z oddziałem ZLP w Słupsku, Wtorkowych Spotkaniach Literackich, wydawanej w Słupsku „Wsi Tworzącej” i pomocy jaką otrzymujemy od Starostwa Powiatowego. Szmer zazdrości przeszedł po sali, gdy opowiadałem o naszych antologiach poezji wydawanych w Słupsku przez czternaście lat i uroczyście wręczanych nam, poetom na Powiatowych Spotkaniach z Poezją (Nie) Profesjonalną w Damnicy. Spotkanie zakończyło wystąpienie Prezydenta miasta, w którym nie pominął naszych słupskich osiągnięć, podkreślając jako wzór godny naśladowania.

**Andrzej Szczepaniak
Bytów**



SPOTKANIA

NOWE KSIĄŻKI



Smaki życia i miłości

W czerwcu 2013 roku ukazał się debiutanci tomik wierszy „Ja kobieta” Zofii Marii Smalewskiej z Naćmierz (pow. sławieński), dzisiaj już mieszkanki Bąkowa w gminie Kolbudy. Upłynęły cztery lata i mamy jej kolejny tomik wierszy pt. „Smaki życia i miłości”

„Poetka nie ukrywa zadowolenia z faktu, że jej wiersze poświęcone przede wszystkim wsi i środowisku wiejskiemu na tyle zyskały sobie uznanie, iż mogła pokusić się o wydanie kolejnego tomiku, jakże oczekiwanego przez miłośników jej poezji - czytamy w „Od Wydawcy”. I dalej: „Nieprzypadkowym pozostaje przy tym jego tytuł - „Smaki życia i miłości”. Jego siły witalne rzutują na poetyckie

obrazy malowane pięknym poetyckim słowem, ozdabiane kunsztowną metaforą. Wiersze są pełne ciepłych barw, a jeśli występują w nich cienie, to są nimi



jedynie artystyczne odnośniki do codziennych przeżyć i minionych chwil. Przeżyć i bogatych doznań, które rysują jej życie, jej miłość i jej wiersze." (...) „W tomiku przeczytać można także okazjonalne teksty poetyckie. Warto się z nimi wszystkimi zapoznać, by wspólnie z Poetką przeżyć wyjątkowy spektakl pisanego słowa - jej poezji” - zachęca wydawca.

Sama autorka wierszy we wstępie „Dlaczego piszę wiersze?” zdradza: „Piszę wiersze i opowiadania, bo nie mogę być filozofem. Zwykła zazdrość płacze moje myśli. Bez znajomości greki nie mogę przekazać sedna filozoficznych rozważań, a piszę o tym, co mi bliskie i co kocham. Piszę wiersze, aby nie kłamać. Nie nadaję się do tego, by

rozprawiać o polityce, ale proszę o deszcz, słońce i miłość. Kocham wieś, zwłaszcza tę, która odeszła. Chętnie zatem w wierszach wracam do przeszłości, ratując to, co drogie dla moich wnuków: tradycję”.

Zachęcam do przeczytania tych wierszy. Zofia M. Smalewska od kilku lat należy do Grupy „Wtorkowe Spotkania Literackie” działającej przy Starostwie Powiatowym w Słupsku, jest aktywnym jej członkiem i wiele wierszy ujętych w tym tomiku ukazało się już w wydawnictwach powiatu słupskiego, w tym we „Wsi Tworzącej”. (Z)

Zofia Maria Smalewska: „Smaki życia i miłości”, Wydawnictwo Prywatne MAGNOLIA, Naćmierz 2017, ISBN 978-83-936027-5-9.



Zarastanie pamięci

„Ukochanej żonie Zofii Marii zadedykował swój ostatni tomik wierszy „Zarastanie pamięci” Jan Stanisław Smalewski

J. S. Smalewski to nie tylko poeta, ale także wytrawny autor książek historycznych, m.in. o Żołnierzach Wyklętych. Od 1994 roku wydał sześć tomików, ten jest siódmy. Jan Stanisław Jeż pisze o nim: „...posiadał niebywałą umiejętność malowania słowami pięknych i barwnych pejzaży poetyckich. Jest dojrzałym i spełnionym poetą. (...) Autor z ogromną atencją i szcunkiem odnosi się do swoich potencjalnych czytelników. Nie narzuca im swojego sposobu postrzegania i odbierania społecznej i przyrodniczej rzeczywistości, nie dookreśla kreowanych obrazów, pozostawiając tę możliwość czytelnikowi. I chociażby dlatego należy przeczytać oraz przeżyć te wiersze”...

Inny z recenzentów tomiku Jan Stanisław Kiczor dodaje: „ten tomik powstał z mądrości człowieka mocno dojrzałego,

który z niejednego pieca chleb jadł, doświadczonego życiowo i przez sam fakt owej dojrzałości, patrzą-

cego na świat z stoickim spokojem cechującym ludzi, których już niewiele rzeczy może zdziwić. Ta poezja jest mi bliska, zarówno przez swoją narracyjną warstwę, jak i podobieństwo odczuć, że czas „robi swoje”, a my możemy tylko to, co nam najdroższe, pielęgnować jak rabaty w ogródku, by chwastem niepamięci nie zostały. To pięknie napisane wersy o tym, co jest tylko Autora i takim pozostanie do końca”. (Z)

Jan Stanisław Smalewski: „Zarastanie pamięci”, Wydawnictwo PATI, Warszawa 2017, ISBN 978-83-936027-6-6.



Bytów Literacki

„Ukazał się czwarty tom antologii poezji 2017 „Bytów Literacki”

We wstępie „Do Czytelników” pióra Wacława Pomorskiego i Andrzeja Waszkiewicza - redaktora wydania czytamy, że „Czwarty tom almanachu „Bytów Literacki. Antologia Poezji 2017” tworzą poeci związani z Klubem Literackim „Wers” działającym przy Bytowskim Centrum Kultury w Bytowie. Klub został założony w 1976 r. przez Wacława Pomorskiego. Niniejszy zbiorek wprowadza grupę literacką związaną z „Wersem” w piąte dziesięciolecie istnienia i jak zapewniają literaci, nie jest to ich ostatni projekt wydawniczy. Wiersze zawarte w antologii powinny zaspokoić

oczekiwania wszystkich czytelników bez względu na narzędzia odbioru dzieła jakimi dysponują. Na pewno w almanachu nie znajdują się utwory przyszłych Noblistów, jednak wielu z poetów było już dostrzeganych w konkursach literackich, co jest gwarancją solidnego warsztatu poetyckiego zaprezentowanego w tym tomie”.

W almanachu znalazły się wiersze 29 autorów, w tym Grzegorza Chwieduka z Kępca, Henryka Czyża, Genowefy Gańskiej, Andrzeja Szczepanika, Wacława Pomorskiego, Andrzeja Waszkiewicza - wszyscy z Bytowa, Piotra Wiktora Grygiela z Jasienia, Mariana Zenona Lasonia i Teresy Ławeckiej ze Słupska, Romany Małeckiej z Kwakowa, Aldony M. Peplińskiej z Motarzyna, Mariana Kwidzińskiego z Białogardu i Ireny Peszkin-Bobińskiej z Koszalina. W Memoriale przypomniano poezję Wacławy Grienke, Raisy Maciejuk i Wandy Majewicz-Kulon.

„Bytów Literacki. Antologia Poezji 2017”, KURIER s.c., Bytów 2017, ISBN 978-83-946755-0-9, nakład 350 egz.



W Zakolu Wilii

Woda jest źródłem życia. Jej topos występuje w twórczości wszystkich narodów żyjących na Ziemi. Fizyczny opis rzeki Niewiaży, przemienionej w sacrum, naszkicował noblista Czesław Miłosz w wierszu „W Szetejniach”. (...) Z kolei niniejszy tomik wierszy łączy miejsce powstania utworów - Litwa, a konkretniej - Wileńszczyzna i jej symbol - rzeka Wilia zakolami wijąca się pośród pagórków i sosnowych borów” - czytamy we wstępie zatytułowanym „W zakolu Wilii, w kręgu Poezji” do antologii wierszy młodych twórców „W zakolu Wilii”

Henryk Szostakowski napisał jeszcze m.in.: „Książka, którą oddajemy do rąk Czytelnika, jest trzecią antologią wydaną na Litwie po ostatniej wojnie. Trzydzieści jeden lat minęło od chwili, gdy opuścił drukarnię zbiór wierszy zatytułowany „Sponad Wilii cichych fal”. Na drugą tego rodzaju książkę musiano czekać długo. Dopiero trzy lata dzielą nas od wyjścia trójjęzycznej litewsko-białorusko-polskiej antologii „Susitikimai = Cymr... = Spotkania”. Z kolei niniejszy zbiór wierszy różni się od pozostałych przede wszystkim tym, że zawiera wyłącznie wiersze młodych twórców. Jedni z nich urodzeni w latach osiemdziesiątych, już z dyplomami wyższych uczelni, inni studiuja, a najmłodszy uczestnik - dopiero w tym roku ukończył gimnazjum. Wszyscy debiutowali na Litwie, przeważnie w „Rocie” - dodatku do „Tygodnika Wileńszczyzny” oraz w „Kurierze Wileńskim”. Tylko nieliczni mieli okazję zamieszczać swe wiersze w prasie wydawanej w Macierzy. Niektórzy - jak Tomas Tamosiunas,

Daniel Krajczyński, Agnieszka Mackojć - już mają za sobą debiuty książkowe.”

W antologii zamieszczono wiersze 15 młodych autorów. Oprócz wymienionych wyżej także: Mirosława Bartoszewicza, Dariusza Kaplewskiego, Aliny Kołodziejnej, Marzeny Mackojć, Agnieszki Masalyte, Dominiki Olickiej, Marzeny Palewicz, Katarzyny Pieczuro-Mazeiklene, Daniela Rogoży, Jarosława Samosionka, Jolanty Tamosiunaite i Krystyny Uzenaite.

Niektórzy z umieszczonych w antologii autorów, np. Agnieszka i Marzena Mackojć, Dominika Olicka, Daniel Rogoża, Krystyna Uzenaite i Dariusz Kaplewski drukowali swoje wiersze w antologii wydawanej przez powiat słupski, a także we „Wsi Tworzącej”. (z)

„W zakolu Wilii. Antologia wierszy młodych twórców”, wybór i redakcja: Józef Szostakowski, wydawca: Muzeum Władysława Syrokomli, Wilno 2016, ISBN 978-609-95456-4-6, nakład 300 egz.



To dla Ciebie...

Prof. Józef Borzyszkowski z Instytutu Kaszubskiego w Gdańsku przestał nam wydany przez tenże Instytut tomik wierszy Franciszka Fenikowskiego pt. „To dla Ciebie...”

Jak przypominał we wstępie swego pióra, Franciszek Fenikowski był znanym poetą prozaikiem i dramaturgiem, który urodził się w 1922 roku w Poznaniu, a zmarł w 1982 w Warszawie. Po studiach polonistycznych na Uniwersytecie Poznańskim w latach 1948 - 1975 mieszkał w Trójmieście, do 1970 roku w Gdyni-Orłowie, a następnie w Gdańsku-Oliwie. Ostatnie lata życia spędził w Warszawie, gdzie zmarł 15 grudnia 1982 roku i pochowany został na cmentarzu parafii św. Katarzyny na Służewcu.

Wydany tom wierszy to owoc pracy Ireny Fenikowskiej, która porządkując w Warszawie ogromną spuściznę pisarza - poety związanego z Trójmiastem, Kaszubami, morzem i Pomorzem, zebrała m.in. tom wierszy dedykowanych przez ich autora najbliższym mu kobietom. Jednocześnie czyniła starania o przejęcie całości spuścizny Franciszka Fenikowskiego przez Centralne Muzeum Morskie w Gdańsku, ale ta znalazła się ostatecznie (już po śmierci Ireny Fenikowskiej)

w Muzeum Piśmiennictwa i Muzyki Kaszubsko-Pomorskiej w Wejherowie.

Wiersze adresowane były do Róży Ostrowskiej, Teresy Sierant i Ireny Fenikowskiej - trzech wielkich

miłości poety. Pierwsza była pisarką pochodzącą z Wilna, zakochaną w bliskich F. Fenikowskiemu Kaszubach, w szczególności związana z Wdzydzami, druga to gdańszczanka, historyczka sztuki, wykładowca historii sztuki i kierownik Biblioteki w Akademii Sztuk Pięknych w Gdańsku (pracowała nad tomikiem). Trzecia - Irena Fenikowska była ekonomistką, córką Bronisława Hozakowskiego, wybitnego przedsiębiorcy i obywatela Torunia, została żoną poety w 1976 roku. Jak podaje prof. J. Borzyszkowski - poznał ją w 1975 roku F. Fenikowski opuścił Gdańsk i zamieszkał w Warszawie. Dzięki niemu bliżej związała się ze Społecznością Zrzeszoną, a zwłaszcza z redakcją „Pomeranii”, wydającej tomiki jego wierszy. Ostatnie lata swojego życia poświęciła na porządkowanie spuścizny literackiej F. Fenikowskiego. Wtedy też wybrała do druku wiersze liryczne męża dedykowane trzem - jej zdaniem - najważniejszym kobietom w jego życiu. (z)

Franciszek Fenikowski: „To dla Ciebie...”, Instytut Kaszubski, Gdańsk 2016, ISBN 978-83-63368-94-4.



W baśniowej krainie

„W bajecznych przebraniach fiakra” to najnowszy tomik poezji Piotra Wiktora Grygiela z Jasienia

„Częstym patronem bądź bohaterem (lub podmiotem lirycznym) tych wierszy (umieszczonych w tomiku - uzp. aut.) bywa Konstanty Ildefons Gałczyński, Zbigniew Herbert, Stanisław Grochowiak, jednak liczne bywają odwołania do historii, sztuki, literatury, szczególnie tej antycznej - greckiej i rzymskiej. Stąd poprzez liczne odniesienia do antyku Grygiel szuka klucza do współczesności. Odbijają one nową wizję świata wpływającą z niepokoju oraz rozpacz człowieka, w jakie popadł on po upadku dawnych mitów. Poezja ma je zastąpić, stając się nowym mitem, nowym Bogiem.

Aluzja literacka zastępuje niedawne jeszcze mówienie wprost, dlatego Czytelnik (wg autora) powinien mieć dość obszerną wiedzę, stąd wiersze niniejszego tomiku trzeba czytać wielokrotnie, czasami sięgając do encyklopedii, by przypomnieć sobie zapomniane terminy, chociażby z mitologii. A równocześnie i równolegle, jak dowodzą tego prezentowane w tym tomie teksty - rozwija się liryka osobista, problemy jednostkowe zyskują wymiar uniwersalny. Bo jesteśmy tylko żałosnymi kuglarzami w rękach losu, marionetkami wielkiego teatru lalek, w którym

przeznaczenie prowadzi grę. Ale to nic nowego od czasu, gdy Szekspir powiedział: „Cały świat jest sceną. Mężczyźni i kobiety są tylko aktorami. Mają tu swoje wejścia i wyjścia”. U Grygiela trwają nadal poszukiwania lingwistyczne, czego przykładem są wiersze, np. „For-tu-na”, „Dom-nie-ma-nie” czy „Dwu-znacznie”. Bezspornie można w przypadku twórcy mówić o jego wyrównanym poziomie i dużej świadomości artystycznej oraz kulturze literackiej”

- czytamy na okładce i we wstępie do tomiku zatytułowanym „W baśniowej krainie” autorstwa Mirosława Kościńskiego.

Godzi się przypomnieć, że P. W. Grygiel to autor jeszcze czterech wcześniejszych tomów poezji: „Na grzbiecie lśniącej Minerwy” (2008 r.), „Flagowy okręt grządek” (2009 r.), „Na rydwanach Apollina” (2010 r.) i „Tuż za rogiem jest moje San Francisco” (2012 r.). Jest laureatem ponad dwudziestu ogólnopolskich i międzynarodowych konkursów literackich, obecny w kilkudziesięciu almanachach i antologiach, również w wielu pismach literackich, m.in. „Akancie”, „Poezji Dzisiaj”, pisze także fraszki, aforyzmy, limeryki. Z racji rolniczego i przyrodniczego wykształcenia jest znanym na Kaszubach i Pomorzu prognostą pogody, czyli słupskim dyżurnym synoptykiem i publicystą. Od wielu lat należy do słupskiej Grupy „Wtorkowe Spotkania Literackie”. Ostatnio pozytywnie przeszedł weryfikację i został przyjęty do Związku Literatów Polskich. Warto czytać jego wiersze. (z)

Piotr Wiktor Grygiel: „W bajecznych przebraniach fiakra”, Starostwo Powiatowe, Słupsk 2016, ISBN 978-83-60228-71-5.

Katarzyna Nazaruk - Gdynia

„CHILOBYTY”

w naszym Asgardzie pokój pachnie
zieloną herbatą i Tobą. moje myśli
poddają aurze chwilobytu. efemeryda
kilkunastu godzin zaklęta w kadrach
zdjęć za każdym razem jesteś jak deszcz
i świeżość oceanu. rozpuszczasz moje
emocje dochodząc do rdzenia pukasz
do niegdysiejszej Afrodyty. by pożyczyć
sól namiętności lub zakląć ją w ból
kolejnych tęsknot. a ja czeszę włosy
i porządkuję uczucia skraplając ciało
duszaco wabiącym zapachem Białej
Perły który zdejmujesz ze mnie nader
szybko jak stringi by cieszyć się nagością
bliskości. czasem z szorstkim rewersem
uśmiechu otwartymi porami chłonę
Ciebie i migotliwość chwili najbardziej
głodny winnymi wieczorami i rankami
głaszczę muskam ustami plecy i uda jak
grudy ziemi Gai rozgarniając jej kolejne
warstwy w poszukiwaniu skarbów.
mierząc w byt poza horyzontem
od dziś będę jak Frigg z uśmiechem
tkającą chmury

ZAGUBIENIE

Płaszczem ze szkła atrakcyjnie błyszczący
jak nowy samochód
Nurzasz się w jego sensie
Z gracją wjeżdżasz w gąszcz
wygłodniałych układów i uzależnień
popaprzanych złudzeń
egoistycznych przyzwyczajęń
Niehermetyczny świat
osobnych chwil
czułości dotyków
Fejsbukowe oczy i usta
wyczesane fryzury śnią się na jawie
Na deser gra telewizyjnego szołmena
romans egzaltowanych kochanków
Brak tabletek na wyciszenie
potu i katharsis tkanki nasączonej
codzienna toksyna...

Tymczasowość
jad tęsknot których on nie rozumie
bo jest obok moich wzruszeń

Proszę
wytrop mój jad

zrozum mój gniew

Spotkajmy się na polanie zbliżeń
bez macha wirtualnej marihuany

